



MACIEJ PETRUCZENKO

PRZEŚCIGNAĆ SWÓJ CZAS

KARIERA IRENY SZEWIŃSKIEJ OD KULIS

PRZEŚCIGNAĆ SWÓJ CZAS

BIBLIOTEKA
PRZEGLĄD
SPORTÓWY

Warszawa 2019

PRZEŚCIGNAĆ SWÓJ CZAS

*Książkę tę – z okazji stulecia,
obchodzonego w 2019 roku przez Polski
Związek Lekkiej Atletyki
i Polski Komitet Olimpijski – dedykujemy
obu tym szacownym organizacjom,
z którymi Irena była związana niemal
przez całe życie.*

MACIEJ PETRUCZENKO
JANUSZ SZEWIŃSKI

SPIS TREŚCI

KARIERA IRENY SZEWIŃSKIEJ OD KULIS

WSTĘP – PISANE OD SERCA	9
1. TRÓJKĄT KIJÓW – LENINGRAD – WARSZAWA	17
2. TALENT DO WSZYSTKIEGO	43
3. NIEZAPOMNIANY DUET K-K	61
4. JAK SPORT WYGRAŁ Z NAUKĄ	133
5. TOKIO – CO START, TO MEDAL	137
6. BUDAPESZT – WYGRYWAŁY JAK CHCIAŁY	155
7. MEKSYK – WZLOTY I UPADKI	169
8. IRENA I JANUSZ – MAŁŻEŃSTWO DOSKONAŁE	187
9. SPORTOWE DRUGIE ŻYCIE	219
10. MONACHIUM 1972: ZAMACH TERRORYSTYCZNY PRZED FINAŁEM 200 METRÓW	229
11. RZYMSKIE WAKACJE Z MEDALAMI	239
12. SPRINTEM PRZEZ EUROPE	257
13. WPROST NIEREALNY MONTREAL	271
14. W 36 DNI DOKOŁA ŚWIATA, ZIMA 1977	281

15. OCH, OCH, OCH – Z TYŁU KOCHI!	301
16. ŁABĘDZI ŚPIEW	307
17. KARIERA BEZ KOLCÓW	313
18. GALE I BALE	321
19. RODZINA JEST NAJWAŻNIEJSZA	349
20. GDZIE JESTEŚ, OFELIO?	359
21. POCHWAŁA ZA NAGANO	369
22. MÓWIĄ O IRENIE JEDNYM GŁOSEM	375
23. SZEWIŃSKA PODSUMOWUJE 90-LECIE „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO”	393
24. SMUTNA PIERWSZA ROCZNICA	401
25. OSTATNIA DROGA PIERWSZEJ DAMY SPORTU POLSKIEGO	407
26. CURRICULUM VITAE	409
27. SMAK REKORDU	415
PODZIĘKOWANIA	431



WSTĘP

PISANE OD SERCA

Proponując przeczytanie tych wspomnień, czuję, jak wielki kamień spada mi z serca po upływie aż 43 lat od momentu, gdy po raz pierwszy zanotowałem zwierzenia Ireny Kirszenstein-Szewińskiej pod kątem ujęcia ich w formie książkowej. Przez tak długi czas kartki tamtego maszynopisu zdążyły mocno pożółknąć, a z Ireną przyszło nam się pożegnać na zawsze. Teraz może ona oceniać mój tekst już prosto z nieba. Chociaż i ją, i mnie życie zahartowało na tyle, że nikt nas nigdy nie widział płaczących, to jednak nie ukrywam, że przy pisaniu tej książki tży kapały mi na klawiaturę laptopa.

Zacząć wypada od tego, że wśród osób wybitnych i sławnych kobiety pozostają w mniejszości. Stąd też liczba Polek, które zyskały światowy rozgłos, jest doprawdy niewielka. Wymienić by można chronologicznie: znaną po obu stronach Atlantyku aktorkę dramatyczną Helenę Modrzejewską, a zaraz po niej autorkę pionierskich prac w dziedzinie promieniotwórczości Marię Skłodowską-Curie, która jako pierwsza kobieta otrzymała Nagrodę Nobla (i to dwukrotnie); wspomnieć wypadałoby o kilku przedstawicielkach świata muzyki i plastyki oraz literatury – bo przecież noblistką została też poetka Wisława Szymborska. Ale w sporcie Polką naprawdę znaną i uznaną przez cały świat była tylko Irena Kirszenstein-Szewińska, lekkoatletka, która sama stworzyła jakby odrębną epokę swoimi występami w pięciu kolejnych igrzyskach olimpijskich (1964–1980), aż siedem razy stając na podium. A odbywało się to już w dobie ogarniającej wszystkie kontynenty telewizji satelitarnej, dzięki której widownia podziwiająca Irenę w jednym momencie mogła być liczona już nie w milionach, ale w miliardach. Prowadzący najbardziej prestiżową i najbardziej obiektywną roczną klasyfikację zawodników i zawodniczek w lekkoatletyce amerykański magazyn



„Track&Field News” daje Irenie zdecydowanie pierwsze miejsce w sporządzonych pod różnym kątem rankingach historycznych, potwierdzając, że jest ona najlepszą lekkoatletką wszech czasów.

PIERWSZA DAMA

Wieloletnie pasmo międzynarodowych sukcesów długonogiej warszawianki to w moim przekonaniu najpiękniejszy rozdział w historii sportu polskiego, a rozdział ten został po latach ukoronowany dwudziestoletnią aktywnością byłej mistrzyni w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim, w agendach światowej centrali lekkoatletycznej (IAAF) i Europejskiego Stowarzyszenia Lekkoatletycznego (EAA), jak również Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, Polskiego Komitetu Olimpijskiego (PKOl), Towarzystwa Olimpijczyków Polskich i Światowego Stowarzyszenia Olimpijczyków (World Olympians Association – WOA).

Szewińska nie była sportową efemerydą. I na podwórku krajowym, i na światowej arenie pozostawiła aż nadto trwałe ślad. Nic dziwnego, że w naszym sporcie tylko ją tytułowano „Pierwszą Damą”, a kłaniali jej się wszyscy: inni wielcy mistrzowie, najświetniejsi artyści, politycy

z pierwszych stron gazet, monarchowie, no i dziennikarze, ceniący Irenę szczególnie za to, że potrafiła uczynić ze sportu szlachetną sztukę współzawodnictwa, zawsze okazując szacunek wobec rywalek. Nawet tych, które walczyły z nią nieuczciwymi metodami. No i do ostatniej chwili życia głośiła radość z uprawiania sportu.

Nie tylko medale i rekordy decydowały o klasie tej wspaniałej sportsmenki. Klasę tę w równej mierze charakteryzowała ustabilizowana forma na wysokim poziomie i skromny, ujmujący sposób bycia, a zarazem swoista godność, która skłoniła dziennikarzy francuskich do tytułowania Szewińskiej mianem „Une Grande Dame”. Tak samo podszedł zresztą do niej prezydent Francji Valery Giscard d’Estaing, który w 1975 r. osobiście wręczał Irenie nagrodę przeznaczoną dla najlepszej sportsmenki świata, a kiedy przybył wkrótce potem z oficjalną wizytą do Polski, od razu wystosował do niej zaproszenie na uroczysty bankiet w królewskim pałacu w Wilanowie.

W ciągu mojej już blisko 50-letniej pracy w dzienniku „Przegląd Sportowy” przyszło mi rejestrować i komentować wiele fragmentów kariery znakomitej sportsmenki. Towarzyszyłem jej na mniejszych i większych imprezach sportowych, na wielkich fetach – jak doroczne gale lekkoatletyczne w Monako – i wielkich balach. Miałem też możliwość uczestniczenia w życiu towarzyskim Ireny i jej męża, mojego serdecznego druha z „Przeglądu Sportowego” – Janusza Szewińskiego, dla mnie – fotoreportera numer jeden. Duma rozpierała mi pierś zwłaszcza wtedy, gdy ta moja rówieśniczka (rocznik 1946) udawadniała swoimi zwycięstwami, że nasze mocno niedożywione po kataklizmie drugiej wojny światowej i cokolwiek cherlawe pokolenie nie ustępuje w sporcie przedstawicielom o wiele późniejszych generacji, którzy mogli już wyrastać w o niebo lepszych warunkach, w czasach – co tu dużo mówić – dobrobytu.

Bohaterowie sportu różnią się od wybitnych jednostek w innych dziedzinach życia. Znacznie częściej miewają wahania formy, czym irytują kibiców. Mistrz bieżni nie pobiegnie codziennie w tempie rekordu świata. Szewińska była jednak o tyle wyjątkiem, że wrodzony talent i sumienność w treningu pozwalały jej utrzymywać wysoką formę długie lata. Widzowie na stadionach pod każdą szerokością geograficzną wiedzieli, że na tę zawodniczkę można zawsze liczyć. Od początku do końca każdego sezonu. Bardzo rzadko sprawiała zawód. Zapewne dlatego cieszyła się tak powszechną sympatią.

JEDNYM SŁOWEM

- IRENISSIMA!

Niejednokrotnie byłem świadkiem, jak samo wywołanie nazwiska „Szewińska” przez komentatora pobudzało przychylny szmer oklasków i podziwu. Szacunek dla naszej supermistrzyni był na przykład w Ostrawie i Bratysławie tak wielki, że spikerzy ogłaszający na tamtejszych stadionach listy startowe, choć w zasadzie ograniczali komunikat do imion i nazwisk zawodników, w tym jednym jedynym wypadku podkreślali prestiż Polki, tytułując ją „panią Ireną Szewińską”. Owa czołobitność zawsze mnie uderzała, ilekroć znajdowałem się na zawodach ostrawskiej Złatej Tretry i bratysławskiej „Peteeski” (Pravda – Televizia – Slovnaft). Irenie sprawiało to niewątpliwą przyjemność. Mianem „Wielkiej Damy” bodaj jako pierwsza z gazet zaczęła honorować polską królową lekkoatletyki paryska „L’Equipe” – i to sformułowanie chyba najlepiej oddawało renomę lekkoatletki. Być „Wielką Damą” na stadionie, gdzie pot zalewa oczy, a grymas wysiłku wykrzywia twarz, gdzie emocje i stresy – to wielka sztuka, jaką może pochwalić się niewiele sportsmenek. Szewińska posiadała też inną wielką sztukę – bycia sobą niezależnie od czasu i miejsca wydarzenia oraz splotu okoliczności życiowych. Rozpoczęła karierę jako skromna, ujmująca sposobem zachowania zawodniczka i tak ją zakończyła.

A ile można wskazać innych przykładów braku jakiegokolwiek zmanierowania w następstwie wzniecanego wokół kogoś medialnego szumu, błyskawicznie rosnącej sławy? Przyszłość wykazała, że wiele kolejnych gwiazd naszego sportu takiemu zmanierowaniu łatwo uległo, psując swój wizerunek wielkiego mistrza publicznym objawianiem pychy i zachowaniami, jakie nie mogą budzić akceptacji. Irena jednak była do końca sobą, kimś szczerym, otwartym, serdecznym, nieokazującym nikomu nawet cienia wyższości.

Na sportowej arenie podziwialiśmy ją przez bez mała 20 lat. Były okresy mozolnego treningu, stopniowego ulepszania najdrobniejszych elementów techniki biegania i skakania. Był czas studiów na Uniwersytecie Warszawskim i czas macierzyństwa, po którym trzeba było nie lada wysiłku, by na powrót znaleźć się w czołówce światowej i rywalizować z młodym pokoleniem lekkoatletek. Była znów wielka radość z imponujących sukcesów. Był wielki triumf reprezentowanego przez nią konsekwentnie czystego sportu nad brudem farmakologicznego do-



Sprint stał się domeną Ireny
na długie lata.

pingu. I wyjście – bez najmniejszego szwanku – z brutalnej rywalizacji propagandowej, jaka – w następstwie zimnej wojny – wytworzyła się pomiędzy Wschodem i Zachodem. Były zwycięstwa w licznych plebiscytach, były zaszczyty, dalekie podróże. I niskie ukłony największych osobistości tego świata.

Długotrwała kariera sportowa Szewińskiej jednych zachwycała, innych drażniła. No cóż – o gustach się nie dyskutuje. Powiadali mi nieraz

znajomi: ona wygrywa wprost do znudzenia, to przestaje być interesujące. Tak, wygrywała aż do znudzenia, wyjawszy ostatnie trzy lata startów. Trudno jednak, by sportowe zwycięstwa mieć komukolwiek za złe. Nikt się dziś nie obraża na Portugalczyka Cristiano Ronaldo i Argentyńczyka Leo Messiego, że są w piłce nożnej bezustannie najlepsi. Tym bardziej można się dziwić, iż pasmo zwycięstw Ireny, jak kiedyś seria triumfów fińskiego długodystansowca Paavo Nurmięgo, mogło komukolwiek znudzić. Przedwojenny mistrz sprintu, a potem dziennikarz sportowy Edward Trojanowski znalazł – może najtrafniejsze – określenie wyrażające przewagę Szewińskiej. Był to później nader często używany, a nawet nadużywany termin „Irenissima”, nawiązujący do stopnia najwyższego przymiotników w języku włoskim. Moim zdaniem bardzo trafny, ale i on irytował niektórych. Pewnie dlatego, że postać i cała kariera polskiej sportswomenki numer jeden stanowiły pewien ideał, do którego trudno było się od jakiegokolwiek strony przyczepić. W zasadzie wszystko się wciąż zapisywało na plus. Żadnych kompromitacji, żadnych ekstrawagancji, żadnych skandali. Widać owa nieskazitelność była dla żadnych niezdrowej sensacji obserwatorów sportu nie do przyjęcia.

Będąc z natury przeogromnym talentem, zdołała udowodnić w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku, że – wbrew pozorom – w dzisiejszej dobie szanse zwyciężania mają nie tylko sportowcy „z retorty”, względnie naszprycowane farmakologicznie stadionowe brojlery. Swoim niepowtarzalnym długim krokiem przemierzyła kilka lekkoatletycznych epok. Zmierzyła się z przedstawicielkami kilku następujących po sobie generacji. Przełamała ówczesne bariery fizjologiczne. Pokazała piękno sportu, odkrywając różne jego oblicza.

A jak się to wszystko tak naprawdę zaczęło? Spróbujmy rzecz uchwycić – in statu nascendi, czyli sięgając do początku rodzinnych życiorysów.



Będąc dzieckiem, wakacje często
spędzała w Kijowie nad Dnieprem.

ROZDZIAŁ I

TRÓJKĄT KIJÓW – LENINGRAD – WARSZAWA

Historia wielkich wojen splata się często z historią sportu. Nikomu jednak to nawet przez głowę nie przeszło, gdy 29 lipca 1976 roku miliardowa widownia, składająca się z telewidzów niemal wszystkich zakątków kuli ziemskiej, wstrzymała oddech, podziwiając finisz szczupłej, długonogiej Polki, która w imponującym stylu wygrała w Montrealu olimpijski finał biegu na 400 metrów, ustanawiając rekord świata – 49.29 sekundy. Występ tej 30-letniej naówczas biegaczki wzbudził szczególne zainteresowanie, ponieważ do mety zmierzała supergwiazda, uznana dwa lata wcześniej za najlepszą sportsmenkę naszej planety. Nadto zaś biegła ona po swój już siódmy medal igrzysk olimpijskich, niejako koronujący wieloletnią serię lekkoatletycznych występów.

Gdyby 24 maja 1946 roku jakiś prorok zapowiedział rodzicom przyszłej montrealskiej triumfatorce, że ich narodzona właśnie córka sportowymi dokonaniem zachwyci cały świat, na pewno nie uwierzyliby w tę przepowiednię, gnieźdząc się w ciasnym pokoiku domu studenckiego w podnoszącym się z wielkim trudem z wojennego kataklizmu Leningradzie. Trwająca blisko 900 dni niemiecka blokada tego miasta (1941–1944) sprawiła, że 97 procent spośród blisko miliona rosyjskich ofiar najazdu hitlerowskiej armii wyzionęło tam ducha na skutek głodu i chorób. W najgorszym okresie notowano przypadki kanibalizmu i do dziś szokują nas zdjęcia wygłodzonych dzieci-szkieletów.

Pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku Leningrad, w okresie 1914–1924 nazywany Piotrogradem, głodował w warunkach pokoju,



Pamiątka z przedszkola, Irenka druga z prawej
w drugim rzędzie od góry (w okularach).

nękany z jednej strony suszą, z drugiej zaś szaleństwami bezwzględnej władzy sowieckiej. Wtedy jednak pomoc żywnościową przystali statkiem Amerykanie, wykorzystując zbawcze położenie miejscowości przy wielkim jeziorze Ładoga. W czasie niemieckiej blokady wszelako generalissimus Józef Stalin – zamiast dostarczać mieszkańcom żywność – wolał ślać przez jezioro dostawy surowców do produkcji broni i wyprodukowaną broń tą samą drogą z Leningradu zabierać. Nic dziwnego, że – jak w wielu innych miejscach imperium sowieckiego – kromka chleba była w drugim co do wielkości mieście Rosji na wagę złota. I w roku 1946 nikt nawet nie myślał o przywróceniu Leningradowi historycznej nazwy z czasów carskich – Sankt Petersburg, co nastąpiło dopiero 45 lat później, po demontażu politycznego kolosa, jakim był Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Tym bardziej więc warto zdać sobie sprawę, w jakich warunkach przyszła na świat Irena Kirszenstein, najznakomitsza polska sportsmenka w historii, bardziej znana już pod przyjętym po zamążpójściu

nazwiskiem – Szewińska. Gdyby nie doszło do szczęśliwej repatriacji w 1947 roku i przeniesienia z Leningradu do Warszawy wraz z rodzicami – urodzonego w Warszawie Jakuba Kirszensteina i wywodzącej się z Kijowa Eugenii Rafalskiej, losy Ireny potoczyłyby się najprawdopodobniej całkiem inaczej. I żałowałyby tego zapewne przebywający od dawna w zaświatach wielki podskarbi litewski, Hieronim Kryszpin-Kirszenstein (1663–1676), być może jeden z dalszych przodków Jakuba.

Skomplikowane koleje losu Rzeczypospolitej sprawiły na przykład, że w latach dwudziestych ubiegłego wieku doczekaliśmy się znakomitego dziesięcioboisty w osobie Antoniego Cejzika tylko dlatego, że po prostu cudem udało mu się wydostać ze świeżo założonego imperium komunistycznego – ZSRR, gdzie zdążył ukończyć szkołę baletową i co nieco wyćwiczyć się w sporcie. Nasz najlepszy – obok Janusza Kusocińskiego – przedwojenny biegacz na średnich i długich dystansach Stanisław Petkiewicz był imigrantem z Łotwy. Z kolei syn osiadłego z dawna na Litwie i zamordowanego za współpracę z wileńską AK hrabiego Władysława Komara – Władysław Komar junior – został wprawdzie w roku 1945 wwieziony na terytorium powojennej Polski na białym koniu,

To dzięki ukochanej mamie Eugenii Rafalskiej poszła pierwszy raz na zawody lekkoatletyczne – Memoriał Janusza Kusocińskiego.





Podczas wakacji nad morzem.

ale... czerwonoarmisty, a przyszły mistrz olimpijski i rekordzista świata w skoku o tyczce Władysław Kozakiewicz to także repatriant – do Polski przybył wraz z rodziną z terytorium radzieckiej Litwy.

ŻYCIORYS JAKUBA KIRSZENSTEINA

Rodowód Ireny Kirszenstein-Szewińskiej najlepiej ilustruje życiorys jej ojca, własnoręcznie przez niego napisany. Jest to bardzo ciekawa opowieść ze szczególnym uwzględnieniem perypetii Jakuba i jego przyszłej żony w okresie drugiej wojny światowej. Z wyjątkiem śródtytułów tekst jest przedstawiony w oryginale – bez jakichkolwiek poprawek.

TU NIEMCY, TAM SOWIECI...

Urodziłem się w Warszawie 24.06.1919 r. Ojciec z matką prowadzili atelier i pracownię kuźnierską w Warszawie. Miałem jeszcze troje młodszego rodzeństwa, 2 braci i najmłodszą siostrę. Naukę rozpocząłem w

wieku 6 lat w prywatnej szkole podstawowej, po ukończeniu której kontynuowałem naukę w gimnazjum, po czym rozpocząłem wyższe studia na wydziale elektrycznym. Studiowałem 2 lata aż do napaści niemieckiej na Polskę w 1939 r. Brałem wówczas udział w obronie Warszawy.

DRUGI OKRES WOJNY

Po 3 miesiącach w początku grudnia wraz z kilkoma kolegami opuściłem Warszawę, udając się na wschód i po wielu perypetiach dostałem się do strefy zajętej przez wojska radzieckie. Dotarłem do Lwowa, gdzie spotkałem wielu kolegów, którzy przybyli wcześniej. Zostałem przyjęty na Politechnikę Lwowską, gdzie mogłem kontynuować studia. We Lwowie spotkałem młodszego brata, który opuścił Warszawę wraz ze swymi kolegami przede mną. We Lwowie starał się dostać na studia na uniwersytecie, ale nie był przyjęty i postanowił wrócić do Warszawy. Ostatnią kartkę od rodziny (ojciec, matka, dwóch braci, siostra) otrzymuje w marcu 1941 roku. Po tej odkrytce, którą do dziś zachował, nie miał od nich więcej żadnych wiadomości. Jak się już później dowiedział, wszyscy zginęli w Treblince.

KIERUNEK - UZBEKISTAN

Po natarciu wojsk niemieckich na ZSRR uciekłem ze Lwowa i na piechotę wraz z kolegami, chodząc tylko nocą – dostaliśmy się do starej polsko-radzieckiej granicy, gdzie dostaliśmy się do pociągu, którym dotarliśmy do Kijowa. Tam szła pełna ewakuacja fabryk i ludności na daleki wschód. Udało się nam dostać do pociągu towarowego z otwartymi wagonami, którym po przeszło 30 dniach podróży i po zmianach pociągów dotarliśmy do Taszkientu. W Taszkientcie znajdowało się już kilkaset tysięcy uciekinierów i doradzono nam, aby jechać dalej do Samarkandy. Naturalnie wszystko to, co podałem wyżej, nie szło tak gładko, czasem traktowano nas jak szpiegów, ponieważ nie znaliśmy języka rosyjskiego, a z dowodów wynikało, że jesteśmy z Polski. W Samarkandzie zacząłem pracować jako elektryk w browarze przy konserwacji maszyn elektrycznych.

ZOSTAJĘ SYBIRAKIEM

Po kilku miesiącach pracy, zimą 1941 r., zostałem wraz z wieloma innymi odtransportowany do pracy na Syberii w okolicach Czelabiń-

ska, gdzie pracowałem jako elektryk przy konserwacji sieci wysokiego napięcia zasilającej zakłady przemysłu zbrojeniowego w Czelabińsku. Praca była bardzo ciężka i polegała m.in. na naciąganiu pękających, przy temperaturze dochodzącej do -60 stopni, przewodów elektrycznych. W końcu 1943 r. zostałem zwolniony i wróciłem do Samarkandy, gdzie znów zacząłem pracować już w innym zakładzie, jako elektryk.



Gdzie by tu się schować
przed mamą...

OKRES STUDIÓW W ZSRR

W tym czasie (1944 r.) znajdował się w Samarkandzie (Uzbekistan) ewakuowany z Leningradu Instytut Inżynierów Kinematografii m.in. z wydziałem elektrycznym. Zgłosiłem się tam i po moim piśmie do Komitetu do Spraw Wyższej Szkoły w Moskwie (ówczesne Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego) zostałem przyjęty i mogłem kontynuować studia.

Studia w Instytucie Kinematografii, poza ogólnymi przedmiotami teoretycznymi, obejmowały zagadnienia elektroakustyki, nagłaśniania, akustyki wnętrza, ochrony od hałasów, projektowania studiów filmowych,

kinoteatrów, konstrukcji sprzętu stosowanego w technice filmowej itp. W Samarkandzie w czasie studiów poznałem moją przyszłą żonę Eugenię Rafalską, która była uciekinierką z Kijowa i studiowała na wydziale foto-chemicznym w tym samym instytucie.

W 1945 r. pobraliśmy się i wraz z Instytutem, który reewakuował się, wyjechaliśmy do Leningradu. Miasto wówczas leżało w gruzach.

W 1946 r. urodziła się w Leningradzie córka Irena. W związku z reewakuacją obywateli polskich znajdujących się w ZSRR uzyskałem w tym samym roku, z Polskiej Delegatury w Moskwie, zgodę na pozostanie w Leningradzie do zakończenia studiów. W 1947 ukończyłem studia, uzyskując dyplom inżyniera elektryka. Opinia Komisji – Bardzo Dobra.

POWRÓT DO WARSZAWY

W 1947 r. wraz z żoną i dzieckiem wróciłem do Polski. Jako ciekawostkę mogę dodać, że to nie było takie proste. Gdy zgłosiłem się na milicję, aby dostać zgodę na wyjazd, zażądano, abym przedstawił dokumenty, że jestem z Polski. Dokumenty przedłożone przeze mnie zostały uznane jako nieważne, ponieważ były pisane po polsku. Na moje wyjaśnienia, że Polska jest i była niezależnym krajem, ze swoim językiem i pismem, uznano to za niewystarczające i zażądano, aby wykonać urzędowe tłumaczenie na język rosyjski. W Leningradzie – milionowym mieście – nie było żadnego urzędowego tłumacza, a najbliższy był w Moskwie. Na wyjazd do Moskwy potrzebna była delegacja. Zgłosiłem się wówczas do rosyjskiej Akademii Nauk i na dziale języków słowiańskich profesor języka polskiego napisała tłumaczenie, przyłożyła pieczęć Akademii Nauk i to pozwoliło uzyskać dokument upoważniający do wyjazdu.

RODZINA ŻONY

Do wojny żona wraz ze swoją rodziną mieszkała w Kijowie. Ojciec jej w okresie stalinowskim był prześladowany. Zmarł, gdy żona i jej siostra były jeszcze małe. Siostra oraz jej mąż również mieli wyższe studia. Syn siostry, tzn. kuzyn Ireny, jest również inżynierem.

PRACA NA ZIEMI POLSKIEJ

Po przybyciu do Polski zgłosiłem się do Centralnego Urzędu Kinematografii i rozpocząłem pracę w Nadzorze Technicznym Filmu Polskiego,

a po zorganizowaniu jednostki naukowo-badawczej (FODU) przeszedłem do tej jednostki jako kierownik jednego z zakładów, gdzie konstruowano nowe sprzęty filmowe. W tym czasie byłem również konsultantem dla projektantów z Biura Projektów w zakresie moich specjalności – kinotechniki i akustyki. Na polecenie Prezesa Kinematografii byłem przeniesiony na stanowisko Dyrektora Technicznego na okres 1 roku dla zorganizowania działu technicznego, po czym wróciłem do FODU.

W 1953 r. odszedłem z FODU i przeszedłem do Specjalistycznego Biura Projektów – Miastoprojekt na stały etat, jako kierownik zespołu w zakresie kinotechniki, akustyki wnętrz, ochrony od hałasów i megafonizacji. Biuro to – w zakresie zagadnień teatralnych i filmowych – współpracowało niemal ze wszystkimi biurami projektowymi w Polsce projektującymi obiekty widowiskowe i widowiskowo-sportowe, pracownie konserwacji zabytków itp. Często bywałem powoływany jako ekspert dla Ministerstwa Kultury.

LISTA MOICH DZIEŁ

W zespole wyszkoliłem cały szereg specjalistów w tych zagadnieniach. Niemal we wszystkich miastach w Polsce znajdują się obiekty, dla których w czasie mojej pracy opracowałem projekty dla dużej ilości kinoteatrów, teatrów dramatycznych, operowych, sal koncertowych, audytoriów, teatrów na terenach otwartych, szkół muzycznych, domów kultury i wytwórni filmowych oraz dużych hal widowiskowo-sportowych. Niektóre z nich są opisane w polskiej literaturze technicznej, niektóre były pozytywnie oceniane w prasie. Do bardziej znanych zrealizowanych obiektów można między innymi zaliczyć: trzy wytwórnie filmowe – WFF w Łodzi z dużym nowoczesnym budynkiem dźwięku, WFO w Łodzi, WFF we Wrocławiu, Operę Narodową w Łodzi, Operę w Gdańsku, Halę Sportowo-Widowiskową w Katowicach, Szpital Dziecięcy – dar amerykański w Krakowie, hotel w Krakowie.

DRUGA ŻONA I CÓRKA

Po powrocie do Polski żona przez jakiś czas, gdy Irenka była mała, uczyła się języka polskiego oraz zaczęła kontynuować swoje studia na Politechnice Warszawskiej na wydziale chemii. Po uzyskaniu dyplomu zaczęła pracować w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. W 1953 r. rozeszliśmy się. Irena została przy matce. W 3 lata po rozwodzie po-



Irena z Andrzejkiem w wózku podczas spaceru z mamą -
Eugenią Rafalską oraz tatą - Jakubem Kirszensteinem,
któremu towarzyszy druga córka Ania.

wtórnie się ożeniłem i w 1957 r. miałem jeszcze jedną córkę. Z Ireną i matką utrzymywaliśmy poprawne stosunki i od czasu do czasu spotykaliśmy się. Na urlopy letnie lub zimowe, gdy Irena była mała, wyjeżdżaliśmy razem z nią. Bardzo cieszyłem się, słysząc o jej pierwszych zainteresowaniach sportowych i wynikach w wieku 12 lat, gdy chodziła jeszcze do szkoły podstawowej.

Druga córka Jakuba – Anna – dołączyła do powyższego życiorysu swój własny tekst zatytułowany:

PORTRET ZNANEGO POLSKIEGO AKUSTYKA JAKUBA KIRSZENSTEINA

Jakub Kirszenstein, akustyk-projektant i badacz, urodził się w Warszawie w okresie międzywojennym. Dzieciństwo spędził w domu rodzinnym przy Placu Żelaznej Bramy róg Granicznej. Tutaj niedaleko znajdowała się jedna z czterech bram do Ogrodu Saskiego. W po-



W wieku podłotka.

blizu był Bank Sieroszewskiego, cukiernia Kotlickich. Z jednej strony mieszkania okna wychodziły na pomarańczarnię w ogrodzie Saskim. Wolne chwile młody Jakub spędzał na spacerach po wielkim Ogrodzie, odwiedzając Pomarańczarnię, ogródek Raua i inne zakątki między wejściem do Ogrodu i grobem Nieznanego Żołnierza, wstępując czasem do pijalni mleka Sigalina. Po ukończeniu gimnazjum został przyjęty do jednej z warszawskich uczelni – Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki imienia Wawelberga i Rotwanda przy ulicy Mokotowskiej 6. Wybuch II Wojny Światowej przerywa studia.

Na apel prezydenta miasta bierze udział w obronie Warszawy. Ponadto wraz z innymi sąsiadami zrzuca z dachu domu bomby zapalające, które z samolotów były zrzucone na miasto. Po nalotach często spotykało się na ulicach zabitych i rannych ludzi, dogorywające konie, zbombardowane i palące się domy...

Wraz z młodszym bratem postanawia w uzgodnieniu z rodziną opuścić Warszawę, przed tym zaopatrując rodzinę w artykuły żywnościowe. Młodszy o dwa lata brat Jakuba wraz z kilkoma kolegami pierwszy opuszcza Warszawę, udając się z tysiącami innych warszawiaków na wschód.

Jakub, po wielotygodniowym pobycie w zajętej przez Niemców Warszawie, kilka razy zatrzymywany przez policjantów warszawskich, również wraz z czterema swoimi kolegami opuszcza stolicę, udając się w kierunku na Zareby Kościelne – gdzie w pobliżu przebiegała linia demarkacyjna między terenami zajętymi przez wojska niemieckie i wojska radzieckie. Przechodzą w bród przez Bug zatrzymywani raz przez patrol rosyjski, a potem niemiecki i po tych perypetiach, przemarznięci i przemoczeni, dostają się do Zarebów Kościelnych. Tam, dzięki życzliwej pomocy polskiego dróżnika, pociągiem docierają do Białegostoku.

Po krótkim pobycie w Białymstoku decydują się jechać dalej do Lwowa, gdzie – jak się dowiedzieli – istniała możliwość kontynuowania studiów i równocześnie uniknięcia zsyłki do obozów pracy w ZSRR.

We Lwowie, zajętym przez władzę radziecką, Jakub zostaje przyjęty na Politechnikę Lwowską (Lwiwskij Politechniczeskij Institut). Kontynuuje studia na wydziale elektromechanicznym. Tam też we Lwowie spotyka swojego brata, który zdecydował się na powrót do Warszawy. Ostatnią wiadomość od rodziny (ojciec, matka, dwóch braci, siostra) otrzymuje w marcu 1941 roku. Po tej odkrytce, którą do dziś zachował,

nie miał od nich więcej żadnych wiadomości. Jak się już później dowiedział, wszyscy zginęli w Treblince.

Po rozpoczęciu działań wojennych pomiędzy Niemcami i Rosją, opuszcza wraz ze swoimi kolegami Lwów i piechotą dostają się po kilku dniach – tylko nocnej wędrówki – do starej granicy polsko-radzieckiejw Podwołoczyskach. Pociągiem, często bombardowanym przez samoloty niemieckie, dostają się do Kijowa.

PRZY 60-STOPNIOWYM MROZIE

W Kijowie, gdzie organizowana była pełna ewakuacja ludności, udaje się im wsiąść do pociągu towarowego – transportującego normalnie bydło – i wraz z tysiącem innych uciekinierów jedzie 30 dni przez tereny zamieszkałe przez różne narody południowo-wschodniego ZSRR. Docierają do Taszkientu (Uzbekistan), o którym opowiadał mu w dzieciństwie ojciec, który w 1910 roku odbywał tam służbę wojskową. Z uwagi na olbrzymi napływ uciekinierów z wielu okręgów ZSRR jadą dalej do oddalonego o 300 kilometrów miasta – Samarkandy. Tam, jako studenci, dostają możliwość czasowego zamieszkania w domu akademickim i rozpoczynają poszukiwania pracy. Jakub dostaje ją w browarze, jako elektryk. Do jego obowiązków należy nadzór nad sprzętem, instalacjami elektrycznymi i maszynami elektrycznymi niezbędnymi między innymi w urządzeniach chłodniczych i w miejscowej elektrowni. W wielu rejonach, m.in. południowo-wschodniego ZSRR, można było spotkać ludzi pochodzących z dawnej inteligencji carskiej Rosji, przesiedlonych przez władzę radziecką. Byli to ludzie ciekawi, najczęściej dobrze wykształceni.

W listopadzie 1941 roku otrzymuje zawiadomienie o stawieniu się w komendanturze wojskowej z osobistymi rzeczami w związku z przydziałem do batalionów pracy. Po dziesięciodniowej podróży pociąg (eszelon) dociera do małego osiedla w rejonie Czelabińska na Syberii. Z zewnątrz ktoś wybił szybę, na skutek czego, przy silnym mrozie (–40 stopni), Jakub dostaje zapalenia ucha i natychmiast zostaje przetransportowany do szpitala. Po 10 dniach kuracji wychodzi. W tym czasie większość ludzi dostała już przydziały do pracy w Czelabińsku w zakładach CZ.T.Z. (Czelabinskij Traktornyj Zawod) – który przestawił się na produkcję wojskową. Jakub zostaje w osiedlu, gdzie pracuje jako elektryk przy nadzorze nad siecią instalacji wysokiego napięcia zasilającą

zakłady CZ.T.Z. Praca była bardzo ciężka. Przy mrozach dochodzących do minus 60 stopni pękały przewody wysokiego napięcia i trzeba było naprawiać je, naciągając ciężkie przewody na wysokości 15 metrów nad ziemią. Pobył w tym obozie trwał do połowy 1944 roku.

W wyniku porozumień, zawartych pomiędzy Rządem Polskim w Moskwie a stroną radziecką, zaistniała możliwość opuszczenia obozu. Jakub – korzystając z tej sytuacji – zwalnia się z obozu i wraca z powrotem do Uzbekistanu, do Samarkandy. Zaczyna pracować jako elektryk w przedsiębiorstwie „Kiszmisznoj Zawod” – Zakład zajmujący się suszeniem rodzynek. Sytuacja panująca ówczesnie w zakładzie była dziwna. Rodzynki były poszukiwanym „towarem”. Często zdarzały się kradzieże rodzynek z zakładu. Wynosili je pracownicy w swoich kieszeniach. Były to małe ilości „towaru”. W momencie wykrycia braku sporej ilości towaru wzmagała się kontrola, a potem śledztwo, które zazwyczaj kończyło się zsyłką winnych do obozów. Prawdziwe jednak kradzieże były w większości dokonywane przez kierownictwo zakładu. Wywożono wówczas towar całymi workami, naturalnie bez kontroli. W tym okresie Jakub poważnie choruje. Zapada na tyfus brzuszny zwany tutaj „polskim tyfusem”, najczęściej kończącym się zgonem. Rosjanie lub miejscowa ludność wychodzili ze szpitala po 2 tygodniach. Jest w szpitalu, z którego po wielu tygodniach wychodzi silnie osłabiony.

RATUNEK – W AKADEMII NAUK ZSRR

W roku 1942–43 z Leningradu zostaje ewakuowany przez Gruzję do Samarkandy Instytut Inżynierów Kinematografii. Dowiedziawszy się o tym, Jakub ubiega się o przyjęcie na tę uczelnię. Władze uczelni nie chcą przyjmować uciekinierów z innych krajów. Wysłał kopie swoich dokumentów ze studiów do Komitetu do Spraw Wyższych Uczelni w Moskwie z prośbą o zgodę na kontynuowanie studiów. Po miesiącu zarówno on, jak i uczelnia otrzymują telegram “przyjąć wg przedłożonych dokumentów”. Rozpoczyna studia w Samarkandzie. W połowie 1945 r. Instytut zostaje reewakuowany z powrotem do Leningradu, a wraz z nim wyjeżdża Jakub. W czasie studiów interesują go m.in. zagadnienia związane z akustyką wewnątrz sali kinowych i widowiskowych, a więc słyszalnością w samych salach, warunkami optymalnymi dla źródeł dźwięku i dla pomieszczeń odsłuchowych, m.in. sal teatralnych i koncertowych. Ponadto interesują go układy elektroakustyczne, ochrona od

hałasów, technologia obiektów dla nagrań dźwiękowych oraz odsłuchowych, warunki bezpieczeństwa itp. Te zagadnienia stały się jego pasją w późniejszej pracy. W okresie pobytu w Samarkandzie młody Jakub się zeni. Wraz z małżonką wyjeżdżają do Leningradu, gdzie Jakub kontynuuje studia. W Leningradzie na świat przychodzi jego pierwsza córka – Irena. Obecnie jedna z najbardziej znanych osobistości polskiego sportu.

W 1945 r. przybył do Leningradu przedstawiciel rządu polskiego w Moskwie. Zbiera informacje dotyczące obywateli polskich i załatwia sprawy reewakuacji. Jakub zgłasza się i uzyskuje zgodę na pozostanie w Leningradzie do zakończenia studiów. Po zakończeniu studiów w 1947 roku stara się o powrót do Polski. Udaje się na milicję z prośbą o pozwolenie powrotu do ojczyzny. Dostaje odmowę. Powód: dokumenty są napisane po polsku, a nie po rosyjsku. Nie wystarczają tłumaczenia, iż przed wojną Polska była wolnym

krajem z własnym językiem. Zażądali przetłumaczenia dokumentów na język rosyjski przez urzędowego tłumacza. W kilkumilionowym Leningradzie nie było ani jednego urzędowego tłumacza, trzeba było jechać do Moskwy. A na wyjazd trzeba mieć przepustkę. Podejmuje dalsze kroki. W Leningradzie znajduje się Akademia Nauk ZSRR. Udaje się tam i znajduje wydział slawistyki oraz profesora języka polskiego – to starsza pani, kierowniczką tego wydziału – Polka mieszkająca w Leningradzie jeszcze w okresie przed rewolucją. Jakub przedstawia swoją sytuację. Pani profesor od ręki tłumaczy papiery młodego Jakuba, przepisuje je na maszynie i przystawia pieczęć Akademii Nauk ZSRR. W milicji dostaje pozwolenie na wyjazd do Polski. Drogą przez Moskwę powraca wraz z rodziną do ukochanej Warszawy. Jest rok 1947.

ŻYCIE I PRACA – JAK FILM

Po powrocie do Polski Jakub Kirszenstein rozpoczął poszukiwanie pracy. Zgłosił się do Filmu Polskiego w Warszawie do Dyrekcji budownictwa filmowego. Tam otrzymuje informację, iż Naczelna Dyrekcja Filmu Polskiego znajduje się w Łodzi. Jedzie do Łodzi, rozmawia z dyrektorem naczelnym, potem z dyrektorem kadr, który okazuje się byłym przedstawicielem rządu polskiego w Moskwie, tym samym, który załatwił w Leningradzie sprawy związane z reewakuacją. Jakub uzyskuje propozycję pracy w Łodzi oraz informację, iż w następnym roku

Naczelną Dyрекcyjã Filmu Polskiego przeniesie siã do Warszawy i że sã zainteresowani jego kwalifikacjami. Nie przyjmuje tej pracy – nie odpowiada mu Łódź – i otrzymuje obietnicã, iż po przeniesieniu Dyrekcji do Warszawy dostanie pracã oraz mieszkanie w Warszawie. Wraca do Warszawy. Dostaje tam pracã w Biurze Sprzedaży Aparatów Elektrycznych podległym Ministerstwu Przemysłu i Handlu. Dostaje mieszkanie w Alejach Niepodległości. Po roku pracy otrzymuje zawiadomienie o przeniesieniu Naczelnej Dyrekcji Filmu Polskiego do Warszawy.

Dostaje propozycję pracy w Nadzorze Technicznym Filmu Polskiego oraz przydział tymczasowego mieszkania na terenie Wytworni Filmów Dokumentalnych w Warszawie wraz z obietnicã otrzymania nowego mieszkania w remontowanym budynku Filmu Polskiego. Zajmuje siã nadzorem nad stronã technicznã wojewódzkich zarządów kin. Równocześnie prowadzi działalność konsultacyjną dla projektantów projektujących obiekty związane z filmem, jak wytwórnie filmowe i kinoteatry. Zaczyna udzielać porad technicznych, budowlanych oraz dotyczących technologii tych obiektów, różnorodnych instalacji itp. Za zgodã kierownictwa resortu rozpoczyna pracã w biurze projektowym na 1/2 etatu jako projektant. Zostaje równie¿ powołany do zespołu redakcyjnego miesięcznika Kinotechnik. Kolejno przechodzi do nowo zorganizowanego Filmowego Biura Technicznego – będącego jednostkã naukowo-badawczã, na stanowisko kierownika jednego z działów technicznych, gdzie prowadzi prace związane z konstrukcjami nowych urządzeń filmowych. Po pewnym czasie otrzymuje propozycję objęcia stanowiska Dyrektora Technicznego w Wojewódzkim Zarządzie Kin (obejmującym woj. warszawskie, białostockie i lubelskie). Z poczãtku odmawia, ale potem przyjmuje z warunkiem, iż po zorganizowaniu sprawnie działającego działu i warsztatów wróci do poprzedniej pracy.

RODZI SIĘ GENIUSZ AKUSTYKI

Po roku wraca do FBT, ale jest coraz bardziej zainteresowany pracã w zakresie projektowania obiektów filmowych i widowiskowych, a w szczególności zagadnieniami: akustyki wnętrz, ochrony przeciwdźwiękowej, instalacji elektroakustycznych i kinotechnicznych.

Jest rok 1953. Zwala siã z pracy w resorcie filmowym i przechodzi do pracy w biurze projektowym, gdzie pracuje aż do 1971 roku. Pierwszã czynnościami, po przejściu do biura projektowego na pełny etat, było

opracowanie profesjonalnych metod projektowania w zakresie akustyki wnętrz. Wraz z coraz to większym rozwojem budownictwa kulturalnego i coraz to większą ilością obiektów kultury – jak nowe sale kinowe, remontowane stare i budowane nowe teatry dramatyczne i muzyczne, sale koncertowe, domy kultury, obiekty sportowo-widowiskowe – zaistniała potrzeba obiektywnej oceny jakości akustycznej zarówno starych jak i nowo budowanych sal.

Podstawowymi czynnościami w projektowaniu akustyki wnętrz była analiza ukształtowania wnętrza i jego wpływ na zrozumiałość mowy i charakter nagłośnienia powierzchni zajętej przez słuchaczy, w tym ocena rozprzestrzeniania się fal względnie promieni dźwiękowych przy odbiciach od poszczególnych powierzchni. Oceną objęta była również przestrzeń przeznaczona dla źródła dźwięku, a więc zarówno solisty, jak i orkiestry w audytoriach, salach teatralnych i obiektach muzycznych. W szczególności ważna była ocena pierwszych odbić zawierających poważną część „informacji” akustycznej dotyczącej energii dźwiękowej i częstotliwości. To ostatnie było ważne z uwagi na charakter i rodzaj źródła dźwięku, szczególnie w obiektach teatralnych i muzycznych. Dla tej oceny zastosowano metodę graficzną – nie było jeszcze wtedy komputerów umożliwiających symulację akustyczną, którą w późniejszym okresie, już za granicą Jakub Kirszenstein jako jeden z pierwszych opracował jako profesjonalny program i opublikował. Należało przekonać odpowiednie urzędy o konieczności zaopatrzenia biura w sprzęt pomiarowy dostępny wówczas za granicą, co pozwoliłoby oceniać zarówno istniejące warunki akustyczne, jak i określać niezbędne korekty w ukształtowaniu sali i dobierać materiały i ustroje akustyczne oraz dźwiękoizolacyjne. Z uwagi na brak na ówczesnym rynku specjalnych materiałów dźwiękochłonnych i często dźwiękoizolacyjnych zaczęto również projektować ustroje akustyczne, które wykonywane były w ramach normalnych prac budowlanych.

WIEDZIAŁ NAJLEPIEJ CO... SŁYCHAĆ

Zapotrzebowanie na projektowanie w zakresie akustyki systematycznie wzrastało, zespół rozwijał się, współpraca z architektami stale się polepszała. W wyniku tego obiekty widowiskowe, wybudowane w tym okresie, odznaczały się bardzo dobrymi właściwościami akustycznymi. Zwiększał się również zakres prac związanych z nagłaśnianiem więk-

szych obiektów, szczególnie sportowo widowiskowych. Zasięg prac w zakresie akustyki wnętrz oraz ochrony od hałasów zaczął obejmować całą Polskę. Coraz częściej inne biura projektowe w miastach wojewódzkich oraz pracownie konserwacji zabytków itp. – podzlecały opracowania projektów w wymienionym zakresie, zespół się rozwijał, w skład zespołu weszli również architekci i technicy budowlani. Pracą w zakresie ochrony od hałasów objęte były również inne obiekty, takie jak szpitale, biblioteki, hotele, np. szpital dziecięcy w Krakowie (dar amerykańskiej Polonii), hotel „Cracovia”, projekty typowych budynków mieszkalnych, typowe domy kultury rozsiane później po całej Polsce.

Do znanych obiektów o wysokich walorach akustycznych należały: Teatr Opera w Łodzi, teatr (opera) na Targu Węglowym w Gdańsku, Operetka Warszawska, Teatr Polski w Warszawie, sale koncertowe, m.in. w szkołach muzycznych itp. Szczególnie nowatorskie rozwiązania pod względem akustycznym zastosowano w Teatrze Operowym w Łodzi, gdzie z uwagi na dużą szerokość sali w przestrzeni sceny mogło występować zjawisko ograniczenia dobrej słyszalności wyższych tonów zawartych w głosie solistek. Rozwiązanie polegało na zastosowaniu specjalnie uformowanych reflektorów umieszczonych na suficie, co również wpłynęło na ukształtowanie sali.

Inne nowatorskie rozwiązanie zastosowano w sali koncertowej w szkole muzycznej, gdzie uzyskano przestrzenność dźwięków docierających do słuchacza przy odbiciach od specjalnie uformowanych „klinów” umieszczonych na ścianach sali. W teatrze na wolnym powietrzu zastosowano specjalny kształt muszli koncertowej w celu polepszenia słyszalności na widowni.

Wysoko pod względem akustycznym oceniane były obiekty kilku wytwórni filmowych z budynkami dźwięku, salami do nagrań muzycznych, salami przeglądowymi, m.in. z regulowanym czasem pogłosu wykonane wg projektów Jakuba Kirszensteina. Odznaczały się one również bardzo dobrymi właściwościami pod względem ochrony od hałasów, m.in. w halach zdjęciowych. Do tych obiektów należały Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi, Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi i Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu. Według Resortu Kultury oraz użytkowników uważane one były jako jedne z lepszych w porównaniu ze znanymi wytwórniami zagranicznymi.

Jednym z większych obiektów zrealizowanych w zakresie akusty-

ki była wielofunkcyjna Hala Sportowo-Widowiskowa w Katowicach (Spodek), w której wówczas przewidywano możliwość organizowania spektakli teatralnych, muzycznych, operowych i kinowych. Często przy ocenie dużych obiektów inwestycyjnych w Ministerstwie Kultury i Sztuki Jakub Kirszenstein bywał powoływany jako ekspert w zakresie akustyki. Wszystkie zrealizowane obiekty były wysoko oceniane pod względem jakości akustycznej zarówno przez użytkowników, jak i fachowe komisje oraz inwestorów. Według projektów akustycznych, opracowanych przez Jakuba Kirszensteina zrealizowano w wielu miastach wojewódzkich dużą ilość, m.in.. Teatr Narodowy w Łodzi (opera), dramatyczny w Nowych Tychach, na Zamku w Lublinie, dramatyczny w Lublinie, teatry dramatyczne w typowych domach kultury, sale koncertowe w Lublinie, w Opolu, w domu kultury w Zamościu. Wg projektów J.K. zrealizowano rozwiązania akustyczne w szkole muzycznej w Opolu, w liceum techniki teatralnej w Warszawie, w Akademii Medycznej w Łodzi, w szpitalu w Białymstoku, szpitalu Akademii Medycznej w Lublinie, w audytoriach na Politechnice w Częstochowie, w teatrze Lalek Guliwer, teatrze w Hali Ludowej w Zabrze, Teatrze Kameralnym w Nowej Hucie itp. Pracami objęte były również kinoteatry zarówno w Warszawie, jak i prawie we wszystkich miastach wojewódzkich. W wielu obiektach zastosowano nowatorskie rozwiązania.

Z ZIEMI POLSKIEJ DO SZWECJI

W 1971 roku Jakub Kirszenstein wraz z rodziną, żoną i młodszą córką wyjechali za granicę; z początku do Danii, gdzie Jakub otrzymał propozycję pracy w biurze projektów Radia i Telewizji, a następnie – po 2 tygodniach – do Szwecji, a konkretnie do Göteborga. Po spotkaniu z kierownikiem Instytutu Akustyki na Politechnice (Chalmers Tekniska Högskola) prof. Kihlmanem, obejrzeniu laboratoriów i rozmowie na temat dotychczasowej działalności, Jakub

otrzymał propozycję pracy w Instytucie jako pracownik naukowy. Zakres pracy miał obejmować przede wszystkim zagadnienia akustyki wnętrza, pomiarów akustycznych itp. Pierwsza praca polegała na dostosowaniu parametrów akustycznych dużego pomieszczenia pomiarowego z przegrodami betonowymi, tzw. pogłosowego (przeznaczonego m. in. do badań materiałów dźwiękochłonnych) o objętości 250 metrów kubicznych – do wymagań normowych, tj. do przeszło dwukrotnego

zwiększenia czasu zanikania dźwięku, jaki występował w tym stosunkowo nowo wybudowanym pomieszczeniu. Po przeprowadzeniu niezbędnych pomiarów akustycznych, zbadaniu wibracji poszczególnych elementów konstrukcyjnych i budowlanych hali oraz wykonaniu zaproponowanych przez Jakuba prac uzyskano warunki uznane później jako jedne z lepszych w krajach skandynawskich.

Wszystkie laboratoria instytutu oddzielone były od pozostałych pomieszczeń przy pomocy sprężyn w celu uniknięcia przenoszenia drgań z jednego pomieszczenia do drugiego. Przy niektórych badaniach dźwięków uderzeniowych występowało przenoszenie drgań. Wg metody zastosowanej przez J.K. całkowicie zlikwidowano to zjawisko. Z kolei J.K. uznał za niezbędne zaznajomienie się z techniką komputerową. Po stosunkowo krótkim czasie opracowywał już swoje własne programy obliczeniowe, a potem graficzne, przeznaczone z początku do zestawiania wyników pomiarowych i obliczania parametrów akustycznych. W tym okresie zajmował się również pomiarami właściwości akustycznych różnych typów materiałów dźwiękochłonnych, produkowanych przez duże zakłady przemysłowe. W związku z pracami normalizacyjnymi dotyczącymi międzynarodowej normy na metodę pomiarów współczynników pochłaniania materiałów dźwiękochłonnych J.K. został powołany do komisji normalizacyjnej krajów skandynawskich jako przedstawiciel Zakładu Akustyki CTH. Opracował wówczas – poza własnymi pomiarami – zestawienia zarówno liczbowe, jak i graficzne wyników pomiarów wykonanych we wszystkich laboratoriach krajów skandynawskich. W czasie pracy w CTH J.K. opracował nowy typ tzw. „klinów dźwiękochłonnych”, stosowanych w pomieszczeniach „bezechowych”. Były one przeszło dwukrotnie krótsze od podobnych stosowanych w tego typu pomieszczeniach mając równocześnie takie same parametry akustyczne jak dłuższe kliny. Stosowanie takich klinów pozwalało zwiększać czynną objętość pomieszczenia. Z kolei J.K. zaczął zajmować się badaniami warunków akustycznych w istniejących w Göteborgu obiektach teatralnych. W Miejskim Teatrze Dramatycznym badał „jakość akustyczną” pomieszczenia w różnych miejscach sali, stosując tzw. metodę modulacyjną, pozwalającą oceniać poziom szumów spowodowanych „aktywnością” publiczności na sali, tj. „oddychaniem”, poruszaniem się w czasie nagłaśniania sali sygnałem modulowanym. Uzyskane wyniki były zgodne z wynikami badań wykonanych przez amerykańskich

akustyków stosujących inne metody pomiarowe. Ta sama metoda była zastosowana przy badaniu poziomu szumów w kilkudziesięciu klasach w różnych szkołach w Göteborgu, co pozwoliło ocenić wpływ szumów pochodzących z „komunikacji i innych źródeł hałasów” na zrozumiałość mowy w klasach szkolnych.

J.K. prowadził również badania wpływu reflektorów i ich rozmieszczenia w audytoriach i innych salach na zrozumiałość mowy, biorąc pod uwagę pierwsze odbicia niosące w sobie większość niezmienionej pod względem częstotliwości energii akustycznej. Wyniki prac wykonanych przez J.K. znalazły się w różnych publikacjach Instytutu Akustyki CTH oraz w angielskim czasopiśmie technicznym Applied Acoustic.

KULA... KOŁEM RATUNKOWYM

Ważnym nowym zagadnieniem, którym zajął się J.K., była opracowana przez niego nowa metoda komputerowej symulacji akustycznej, oparta na zasadzie „źródeł pozornych”.

Ten program symulacyjny był jednym z pierwszych profesjonalnych programów opartych na tej zasadzie i do dzisiaj jest stosowany w kilku biurach projektowych w Szwecji. Program składa się z dwóch części: jedna obliczeniowa, w której oblicza się czas pogłosu i kilka normowanych parametrów akustycznych oceniających, „jakość” akustyczną w dowolnych miejscach pomieszczenia, oraz graficzna, w której można analizować wszystkie odbicia dochodzące do wybranego miejsca. Ta ostatnia metoda pozwala oceniać ukształtowanie symulowanego pomieszczenia i stosowana może być dla korekty kształtów oraz lokalizacje materiałów dźwiękochłonnych i reflektujących.

W oparciu o ten program J.K. opracował cały szereg prac obliczeniowych i pomiarowych w różnych obiektach zleconych do Instytutu Akustyki, jak np. dla kilku kościołów, oraz szeregu remontowanych lub rozbudowywanych audytoriów na terenie CTH.

Projektowanie przy zastosowaniu tego programu pozwalało na prawidłową korektę akustyczną przy przebudowie lub remoncie tych obiektów. W 1985 roku, po 15 latach pracy w Instytucie Jakub Kirszenstein przeszedł na emeryturę, lecz w dalszym ciągu współpracował z Instytutem Akustyki. W szczególności dotyczyło to badań modelowych z zastosowaniem techniki impulsowej i pomiarami tzw. odpowiedzi impulsowej pomieszczenia. Jednym z badanych obiektów był model sali

koncertowej zbudowany w Anglii, w którym przeprowadzono pomiary, a równocześnie w CTH wykonano symulację komputerową. Analiza została opracowana w CTH, a rezultaty opublikowane w Applied Acoustics (m.in. badania w Anglii były kierowane przez dr. Orłowskiego – Polaka urodzonego w Anglii i zajmującego się również akustyką).

Wkrótce po przejściu na emeryturę J.K. otwiera własną firmę konsultacyjną (projektową), gdzie prowadzi prace projektowe i m.in. symulacyjne dla różnych obiektów widowiskowych i przemysłowych. Jednym z obiektów, którym J.K. się zajął, była duża sala koncertowa Radia i TV (Berwaldshallen) w Sztokholmie, przeznaczona dla 2000 słuchaczy oraz dla nagrań radiowo-telewizyjnych. J.K. wykonał symulację tej sali dla różnych miejsc zajętych przez publiczność. Ocena jakości sali została dokonana subiektywnie przez muzyków. Ta subiektywna ocena wykazała zgodność z „obliczoną” w symulacji jakością oraz pomiarami czasów pogłosu.

Jednym ze znanych obiektów była Hala Sportowo-Widowiskowa w Sztokholmie (Globen). Hala ta o średnicy 105 m, wysokości 80 m, suficie w kształcie czaszy, przeznaczona była dla 16000 widzów. W końcowym etapie budowy stwierdzono występowanie silnego echa w pewnej przestrzeni zajętej przez widzów z różnicą czasową ok. 300 m/sek, podczas gdy źródło dźwięku znajdowało się w przestrzeni ponad podłogą areny. Analiza graficzna w symulacji wykazała koncentrację refleksów, pomimo iż cały półkuliasty sufit wyłożony był materiałem dźwiękochłonnym. Echo zostało zlikwidowane po zawieszeniu nad areną na wysokości 57 m „kuli” o średnicy 5 m, wykonanej z materiału dźwiękochłonnego. Program symulacyjny był również zastosowany przy kontroli jakości akustycznej dużej sali koncertowej oraz cyrku i innych sal w Sztokholmie. Program ten nadawał się również do analizy akustycznej obiektów przemysłowych. Tam szło o informacje, jaki będzie czas pogłosu w hali oraz gdzie i jakie materiały dźwiękochłonne powinny być umieszczone w hali w celu zmniejszenia hałasów spowodowanych maszynami produkcyjnymi oraz o analizę kształtów hal w celu uniknięcia wpływu pierwszych odbić na poziom hałasów w miejscach pracy. Do takich należały np. rozlewnia piwa w browarze „Spendrup” w hali o objętości ok. 10 000 m², gdzie dostawca maszyn wymagał, aby czas pogłosu nie przekraczał 1 sekundy, a materiały dźwiękochłonne spełniały wymagania „higieniczne”.

W oparciu o ten program biuro projektowe w Islandii wykonało projekt dużego obiektu wielofunkcyjnego „Panorama” w Reykjavíku. Po realizacji i wykonaniu pomiarów związanych z akustyką i elektroakustyką, przedstawiono ten obiekt na międzynarodowym konkursie w Londynie. Uzyskał on tam złoty medal, a Jakub Kirszenstein – od biura w Reykjavíku – otrzymał serdeczne podziękowanie.

PRZYPOMNIAŁ SOBIE O PIERWORODNEJ...

Opracowany przez drugą córkę portret Jakuba musiał być ze zrozumiałych względów jednostronny. Warto jednak spojrzeć na tego bardzo zdolnego człowieka również z punktu widzenia pierwszej rodziny, którą założył wraz z Eugenią Rafalską, a z którą się rozstał w 1953 roku.

Przyjeżdżając do stolicy naszego kraju, Żenia mówiła wyłącznie po rosyjsku i polskiego musiała się dopiero nauczyć, zresztą z dobrym skutkiem – wszak udało jej się ukończyć wyższe studia. Eugenia Rafalska – po rozstaniu z Jakubem – zamieszkała wraz z córką w malutkim lokum przy ul. Długiej, o krok od kościoła garnizonowego, w którym w 2018 roku żegnaliśmy Irenę podczas mszy żałobnej, a ja byłem jednym z tych, którzy mieli honor trzymać wartę przy jej trumnie.

Po latach okazało się, że dużo lepsze relacje z Kubą niż Irena miał jej mąż. Janusz Szewiński tak opowiada o teściu:

– Irenka miała zaledwie półtora roku, gdy wraz z rodzicami przyjechała ze Związku Radzieckiego do Polski, a była zaledwie siedmioletnią dziewczynką, kiedy Kuba opuścił rodzinę.

Tak naprawdę zainteresował się na powrót swoją pierworodną, gdy na początku lat sześćdziesiątych zaczęła osiągać wielkie sukcesy sportowe. On sam też uprawiał sport przed wojną, przez pewien czas bowiem w warszawskiej Skrze ćwiczył się w sztuce bokserskiej, co uważał za rzecz przydatną w samoobronie na wypadek jakże częstych wtedy ataków antysemickich – przypomina zwierzenia Jakuba Janusza.

O nawiązaniu znajomości z Eugenią Rafalską napisał sam Jakub w swoim życiorysie. Wypada jednak dodać, że siostra Eugenii – Polina – nosiła po mężu nazwisko Bezpalców i do końca życia utrzymywała serdeczne kontakty z Żenią, a malutka Irenka, mieszkająca już w Polsce, często wyjeżdżała latem do Kijowa na wakacje spędzane u stryjenki nad Dnieprem, mając za partnera do zabaw nieco starszego od niej stryjeczego braciszka Saszę. Gdy w roku 1990 przyjechałem na zawody

lekkoatletyczne, rozgrywane w Kijowie, Sasza – już pan w sile wieku, ojciec wspaniałej rodziny, serdecznie mnie ugościł.

Eugenia i Jakub, gdy już przyjechali z Uzbekistanu do Leningradu, zostali tam zakwaterowani w akademiku przy ul. Fontanki. I to był pierwszy dom i pierwszy adres Ireny. Po przybyciu w 1947 roku do Warszawy trzyosobowa rodzina repatriantów zamieszkała w kamienicy przy ul. Wawelskiej, niedaleko pomnika Lotnika. Gdy w roku 1951 Jakub opuścił Eugenię, by związać się z nowo poznaną w Warszawie kobietą, mieszkającą w tej samej kamienicy na Ochocie, stosunki z pierwszą żoną ze zrozumiałych względów musiały się ochłodzić. Irena została bowiem jako siedmioletnie dziecko pozostawiona wraz z mamą, która – w przeciwieństwie do męża – z wielkim trudem zadomowiła się w Warszawie.

Jeszcze w Leningradzie Żenia zaczęła studiować chemię, a studia ukończyła już po przenosinach do Polski. Dostała pracę w Centralnym Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, specjalizując się w kolorystyce. Mieszkały już wtedy z Ireną przy Długiej w jednym pokoiku ze wspólną kuchnią, a ich sąsiadem był przyszły reprezentant Polski we florecie, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych Janusz Różycki i to on właśnie przepowiedział Irenie wielką karierę sportową, wygrywając zakład z Eugenią.

A jak Janusz Szewiński zapatruje się na rodzinne korzenie żony?

– Na temat pochodzenia Ireny w zasadzie nigdy z nią nie rozmawiałem. Choć urodzona na terenie ZSRR, przez całe życie czuła się Polką. Jej kijowska rodzina to byli przesympatyczni ludzie. Sasza, syn Poli, brat stryjeczny Ireny, wykształcił się w Kijowie na inżyniera. Gdy doszło do rozpadu ZSRR, wyjechał do Niemiec i po skomplikowanych historiach ściągnął rodzinę. Niestety wkrótce potem zmarł.

KARTKI POCZTOWE ZAGROŻENIEM!

Gdy Irena zaczęła wyjeżdżać za granicę, często wysyłała pocztówki do Kijowa – kontynuuje opowieść Janusz. – Stryjenka Ireny jednak zadzwoniła któregoś dnia i poprosiła, żeby kartek nie wysyłać, bo ona pracuje w zakładach zbrojeniowych i ma z tego powodu problemy w miejscu zatrudnienia. Jeśli Żenia chciała czasem zadzwonić do siostry, to cały dzień trzeba było czekać na połączenie.

Rodzinę Saszy odwiedzaliśmy niejednokrotnie w Kijowie, a potem w Niemczech. Początek zimy stulecia na Sylwestra 1978/1979 spędzi-

liśmy z nimi w ich kijowskim mieszkaniu. Pamiętam, jak wyglądał ten Sylwester w Kijowie. W telewizji puścili „Stawkę większą niż życie” ze Stanisławem Mikulskim w roli głównej. To było prawdziwe szaleństwo. Uwielbiano zresztą ten film we wszystkich demoludach. Podczas seansu piliśmy szampanskoje.

Jakoś nie mieliśmy ochoty do tańców. Wówczas panowała tam skrajna bieda. Pensja siostry Żeni była tak niska, że wystarczyło na zakup raptem 1,5 kg wołowiny. Wielkim świętem dla rodziny było to, że Sasza dorobił się pierwszego samochodu – małowitrazowego moskwicza.

Zaraz po Sylwestrze wróciliśmy z Ireną do Warszawy. Naszego malucha, czyli fiata 126p, zostawiliśmy na lotnisku Okęcie. Odgarnąłem śnieg i samochód odpalił jak gdyby nigdy nic, chociaż mróz był potężny. Przy ówczesnej jakości polskich aut był to ósmy cud świata.

A wracając do czasów wcześniejszych rodziny, przypominam sobie, że w następstwie zainicjowanej w 1968 roku antysemitkiej nagonki w Polsce Jakuba Kirszensteina zwolniono z pracy i już wtedy starano się nakłonić do opuszczenia Polski, ale zdecydował się na to dopiero w 1970 roku. Odwiozłem go wówczas swoim klekoczącym wartburgiem na Dworzec Gdański. Druga żona i córka już siedziały w pociągu, który miał za chwilę odjechać na zachód Europy, a obie zabrały ze sobą cały dobytek, nawet jakieś kołdry czy pierzyny. Tuż przed odjazdem jednak Jakub jeszcze coś załatwiał, choć one się niecierpliwiły. W końcu pociąg ruszył bez niego. Będąc w skrajnej desperacji, poprosił mnie, żebyśmy gonili za składem. No i zacząłem wyciskać z tego mojego wartburga ile fabryka dała, ale ów pociąg doścignęliśmy dopiero na dworcu Poznań Główny. Obie współtowarzyszki Kuby przesiadły się do nas wraz z tym imponującym bagażem, który po powrocie do Warszawy, schowałem u siebie w garażu. W trakcie trzydniowego pobytu Kirszensteinów w naszym mieszkaniu na Bagnie przechowywane kołdry zaczęły się palić i trzeba było kupić nowe na ul. Próżnej. Dopiero wtedy Kuba wraz z żoną i córką ponownie wyruszyli na emigrację, kierując się bodajże do Kopenhagi – wspomina Janusz, dla którego gonienie pociągu samochodem to nie była pierwszozna.

Kiedyś przyszło mu ścigać skład odjeżdżający z Warszawy Główniej do Zakopanego i pościg ten również okazał się skuteczny. Rajdowiec Szewiński wpadł na metę równo z pociągiem – tyle że już w... samym Zakopanem.

Jeśli zaś przypominać emigracyjne losy Jakuba Kirszensteina i jego drugiej rodziny, to wypada przede wszystkim powiedzieć, że ten genialny akustyk rozważał też wyjazd do USA, ale druga żona wolała kraj bliżej Polski. Dlatego wybrali Szwecję. Po osiedleniu się na stałe w Göteborgu cała trójka musiała się nauczyć szwedzkiego, co dotyczyło zwłaszcza Jakuba, któremu zaproponowano wykłady na tamtejszej politechnice.

Z drugą córką wybitnego dźwiękowca pozostaje w dobrym kontakcie młodszy syn Ireny – Jarek. I to on dostał od niej zarówno własnoręcznie napisany życiorys dziadka, jak i jego zawodowy „portret”.



Pierwsze zdjęcie na zawodach (warszawski stadion Gwardii) zrobił Irene Leszek Fidusiewicz i to wtedy zapytała go skromnie: towarzyszu, czy to nie szkoda błony...

ROZDZIAŁ 2

TALENT DO WSZYSTKIEGO

Początek sportowej przygody Ireny Kirszenstein – u progu lat sześćdziesiątych – zbiega się z ważnymi wydarzeniami o wymiarze globalnym i lokalnym. Kończy się era kolonializmu. Od 1960 roku narody afrykańskie, jeden po drugim, tworzą niepodległe państwa. Odznaczający się znakomitą aparycją John Fitzgerald Kennedy wykorzystuje w wyborach walory promocyjne telewizji w USA i zostaje wybrany prezydentem. Powstaje mur, oddzielający Berlin Wschodni od Zachodniego. Trwa wyścig o podbój Kosmosu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a ZSRR. W kwietniu 1961 roku pierwszy człowiek wznosi się na orbitę okołoziemską, a jest nim przedstawiciel tego drugiego kraju Jurij Gagarin. Rok później świat znajduje się o krok od trzeciej wojny światowej, gdy ZSRR instaluje rakiety z pociskami atomowymi na Kubie. Coraz krwawsza staje się wojna rozpoczęta przez Amerykanów w Wietnamie. W 1963 roku Kennedy zostaje zamordowany w następstwie zamachu w Dallas.

W sferze popkultury wysoką pozycję utrzymuje jeszcze gwiazdor wczesnego rock and rolla, uwielbiany przez kobiety w każdym wieku Elvis Presley, ale przyćmiewa go niespodziewanie brytyjski zespół muzyki młodzieżowej The Beatles: Paul McCartney, John Lennon, George Harrison, Ringo Starr.

W Polsce następuje gwałtowne przyspieszenie w upowszechnianiu telewizji. Na scenie politycznej jednak, po chwilowej liberalizacji związanej z Październikiem 1956 i dojściem Władysława Gomułki do władzy, społeczeństwu coraz mocniej przykręca się śrubę. Religia, która po Październiku na krótko wróciła do szkół państwowych, zostaje z nich usunięta. W 1964 roku powstaje słynny „List 34”, będący protestem intelektualistów przeciwko dławieniu wolności w sferze kultury. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski – aresztowani za napisanie głośnego „Li-



Kluczbork, pierwszy obóz Ireny w Polonii Warszawa. Siedzą od prawej: Janusz Szewiński, Jerzy Fidusiewicz, Irena.

stu otwartego do partii”. W kraju mamy swoistą rywalizację pomiędzy komunistycznymi władzami a Kościołem w związku z nadchodzącym 1000-leciem chrztu Polski. Władza realizuje długotrwałą akcję „Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego”. W 1965 roku biskupi polscy doprowadzają dygnitarzy PRL do wściekłości, publikując historyczny list do biskupów niemieckich („Przebaczamy i prosimy o przebaczenie...”).

Jednocześnie społeczeństwo, przywiązane już do telewizji, otrzymuje – obok transmisji z igrzysk olimpijskich – relacje z festiwali piosenki w Sopocie i Opolu. Furorę robią Irena Santor, Ewa Demarczyk, Czesław Niemen, Wojciech Młynarski. Dzięki telewizji szaloną popularność zdobywają osoby zapowiadające programy, festiwale itp. – Irena Dziedzic, Jan Suzin, Lucjan Kydryński. W pierwszej lidze reżyserów filmowych przewodzi już Andrzej Wajda. Jednym ze światowych luminarzy muzyki poważnej jest Krzysztof Penderecki. Na bokserskich mistrzostwach Europy 1963 roku w Moskwie Jerzy Kulej i Zbigniew Pietrzykowski przeciwstawiają się sowieckiej potędze, obaj sięgają po tytuły. Nasi flo-

reciści to już najcięższa elita światowa. Polscy lekkoatleci utrzymują wysoki poziom z czasów Wunderteamu i wciąż toczą wyrównane mecze z Amerykanami. W Chicago Marian Foik wygrywa w jaskini lwa, pokonując na 200 metrów świeżego rekordzistę świata Paula Draytona. A po lekkoatletycznym sezonie 1963 w fachowym miesięczniku „Lekka Atletyka” materiałem otwierającym numer jest zdjęcie młodej sportsmenki z podpisem, w którym błędnie podane jest jej nazwisko: „Irena Kirszensztein (Polonia Warszawa) główny optymistyczny punkt młodej lekkiej atletyki kobiecej. Gdyby przynajmniej trzy dziewczęta podobnej klasy przybywały każdego roku, przyszłość drużyny kobiecej byłaby zapewniona. Nie straszyłoby widmo zesterzenia się świetnego zespołu”.

Tamte nadzwyczaj skomplikowane, ale bardzo ciekawe czasy wspomina z Ireną późną jesienią 1976 roku. Po błyskotliwym sezonie lekkoatletycznym nasza sportsmenka numer jeden, opromieniona blaskiem olimpijskiego złota, zdobytego w Montrealu w biegu na 400 metrów, wyjeżdża do Buska-Zdroju, będącego jej ulubionym miejscem posezonnej rehabilitacji zdrowotnej. Kilkanaście lat intensywnych treningów

Z pierwszym trenerem Janem Kopytą
(z prawej).





Skok wzwyż był pierwszą
specjalnością Ireny.

sprawiło, że organizm wymaga odświeżenia, a najbardziej trzeba zadbąć o intensywnie eksploatowane nogi. Tym bardziej że od ośmiu lat biega się już po tartanie, czyli najwyższej dwucentymetrowej warstwie tworzywa syntetycznego położonej na gołym betonie. Mistrzynie wylicza po kolei, które miejsca ma w nogach szczególnie nadwerżone. W przerwach między zabiegami fizjoterapeutycznymi i balneologicznymi (zwłaszcza moczeniem się w wodach siarczkowych) mająca na koncie siedem olimpijskich trofeów Irena – kobieta już wtedy trzydziestoletnia

– opowiada mi o swoich pierwszych kontaktach ze sportem i pamiętnym entourage’u tamtych lat. A jest o czym gadać, bo przecież gdy ona rozpoczynała we wrześniu 1960 roku naukę w liceum ogólnokształcącym, na ekrany kin wchodził akurat mający do dzisiaj rekordową oglądalność w dziejach naszej kinematografii film Aleksandra Forda – „Krzyżacy”. Sama Irena zresztą miała w owym okresie poważne zainteresowania artystyczne i przymierzała się do przyszłego zawodu... aktorki. Dlatego w zaciszu buskiego pensjonatu chętnie wraca do młodzieńczej przeszłości:

TOWARZYSZU, CZY TO NIE SZKODA BŁONY...

Skłamałabym, twierdząc dziś, że w latach szkolnych marzyłam o karierze sportsmenki. Byłam dzieckiem dość anemicznym, choć wyróżnionym nad wiek. Moje ówczesne zainteresowania nie odbiegały od zainteresowań koleżanek z klasy. W szkole podstawowej przy ul. Zakroczymskiej na Starym Mieście klimatu dla sportu nie było. I może nigdy moje predyspozycje lekkoatletyczne nie zostałyby odkryte, gdybym nie trafiła na taką nauczycielkę wychowania fizycznego, jaką nieco później, bo już w Liceum Ogólnokształcącym im. Jarosława Dąbrowskiego na rogu Świętokrzyskiej i Kopernika, była pani Liliana Buchholz-Onufrowicz. Gdy tylko zaczęłam tam naukę w roku 1960, ta pełna energii kobieta wciągnęła nas w najróżniejsze sprawdziany sportowe, w których brali udział wszyscy uczniowie i uczennice, więc było to całkowite przeciwieństwo zwyczajów na Zakroczymskiej, gdzie lekcje wf. bardzo często zamieniano na tzw. godziny wychowawcze. Tymczasem Liceum Dąbrowskiego okazało się szkołą bardzo usportowioną, chociaż nie miało obiektów, jakich później doczekały się szkoły średnie, chociażby Technikum Łączności, gdzie trenował przyszły mistrz olimpijski w skoku wzwyż Jacek Wszół. Dlatego pierwszy sprawdzian na dystansie 60 metrów miałam na zwykłym korytarzu szkolnym naszego liceum. Po biegu pani Buchholz aż się złapała za głowę, spojrzawszy na stoper, no i nie wierząc własnym oczom, kazała mi pobiec jeszcze raz. Dopiero wtedy upewniła się, że pierwszy pomiar nie był błędny. No i tak doszło do mojego debiutu w lekkoatletyce.

Przyznam szczerze, że swoimi dobrymi wynikami byłam jeszcze bardziej zaskoczona od pani profesor. Ot, w wieku 14 lat przyszło mi zwrócić uwagę na tę dziedzinę życia, którą się wcześniej w ogóle nie interesowałam, siedząc wiecznie z nosem w książkach. W dodatku sport

w formie biegania na czas od razu mi się spodobał, bo to nie była preferowana wówczas w szkołach gimnastyka, do której się kompletnie nie nadawałam.

W ślad za wrześnieowym sprawdzianem na korytarzu przyszedł zaraz pierwszy start na stadionie. Były to międzyszkolne zawody w parku Agrykola. Wzięłam udział w aż pięciu konkurencjach. Na 60 metrów zmierzono mi 8.3 sekundy, w skoku wzwyż 1,38 m, w skoku w dal około 4 metrów. Wyników w pchnięciu kulą i rzucie dyskiem już nawet nie pamiętam.

Początkowo wydawało mi się, że największe możliwości mam w skoku wzwyż. Było to zresztą zrozumiałe, bowiem pośród rówieśniczek wyróżniałam się warunkami fizycznymi. Wysoki wzrost i długie nogi predestynowały mnie do tej specjalności już na pierwszy rzut oka.

Pani profesor potraktowała sprawę całkiem serio i po udanym teście w Agrykoli skierowała mnie od razu do trenera Jana Kopyty w warszawskiej Polonii, wcześniej jednego z najlepszych oszczepników na kuli ziemskiej, któremu ciężka kontuzja barku uniemożliwiła zostanie rekordzistą świata i następcą legendarnego Janusza Sidły. W naszym liceum Kopyto prowadził popołudniami zajęcia Szkolnego Koła Sportowego. Okazało się to wyjątkowo dogodnym splotem okoliczności, ponieważ zwiążanie się z Polonią było dla mnie akurat najłatwiejsze. Stadion tego klubu oddalony był zaledwie o dwa przystanki tramwajowe od placu Dzierżyńskiego (dziś Bankowego – przyp. aut.), gdzie mieszkaliśmy z mamą. Bliskość dojazdu na trening stała się więc dla mnie dodatkową zachętą.

Zimą 1960/1961 ćwiczyłam jeszcze na korytarzu szkolnym, ale wiosną to już były treningi na stadionie Polonii przy Konwiktorskiej, gdzie znalazłam się w prowadzonej przez Kopytę grupie razem z Marzeną Szych, Ewą Wysokińską, Teresą Matecką, Hanną Puławską i Elżbietą Cymerman. Przygotowywałam się w zasadzie do dwóch konkurencji: skoku wzwyż i biegu na 100 metrów, lecz trening był na tym etapie jeszcze bardzo wszechstronny. Kopyto należał do zwolenników ostrożnego postępowania z młodymi zawodnikami bez przedwczesnej specjalizacji.

Pierwszy sukces jako polonistka odniosłam w zawodach na stadionie Gwardii. Miała to być inauguracja sezonu 1961. Początek rywalizacji zaplanowano na godzinę dziesiątą rano. Na Racławicką dojechałam dopiero o 9.50. Pozostało mi niespełna dziesięć minut na rozgrzewkę.

Mimo to zwyciężyłam w skoku wzwyż wynikiem 1,50 m, co było pewną niespodzianką, bo za faworytki uważano Cymerman i Jakubowską. A rozpoczęłam konkurs od wprost dziecinnej wysokości... 1,00 m.

– Półtora metra to dzisiaj również śmieszna wysokość, nawet dla juniorki – kontynuuję wspomnienia Irena. – Nie można jednak zapominać, że w owym czasie lekkoatletyka nie była jeszcze tak rozwinięta jak obecnie. Rekordzistka świata – Rumunka Iolanda Balas stosowała wciąż

– Towarzyszu, czy to nie szkoda błony – takimi słowami zwróciła się wtedy 16-letnia Irena do innego początkującego lekkoatlety Leszka Fidusiewicza, który tak się zachwycił płynnością jej biegu na stadionie Gwardii, że postanowił sfotografować młodszą zawodniczkę. Kto wtedy mógł przewidywać, że ona zostanie kiedyś gwiazdą lekkoatletycznych stadionów, a on asem fotoreporterki...

archaiczny styl nożycowy i ja też przechodziłam poprzeczkę tym sposobem. Bezkonkurencyjny teraz styl Fosbury-flop, tyłem do poprzeczki, miał być zaprezentowany światu dopiero za siedem lat, gdy po raz drugi

Sprinty zaczynała od razu od zdecydowanych zwycięstw.



startowałam na igrzyskach olimpijskich – w Meksyku – i o skakaniu wzwyż zdążyłam całkowicie zapomnieć.

Okres moich próbnych startów kojarzy mi się przede wszystkim ze sławnymi wtedy Czwartkami Lekkoatletycznymi, organizowanymi przez redakcję „Expressu Wieczornego” na stadionie Legii przy Łazienkowskiej. Była to niesłychanie pożyteczna, później niesłusznie zaniechana na czas pewien cotygodniowa impreza, którą w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych zaczęto rozwijać w skali ogólnopolskiej. Czwartki expressowe dawały na początku lat sześćdziesiątych szansę sprawdzenia się każdemu, kto miał choć trochę zapału do lekkoatletyki, niezależnie od tego, czy był zrzeszony w klubie, czy nie. Wielu naszych lekkoatletów rozpoczynało karierę poprzez udział w Czwartkach. Nie ukrywam, że i mnie te zawody przyniosły pierwszy rozgłos w obrębie Warszawy. „Express Wieczorny” czytany był dosłownie przez wszystkich, a w rubryce sportowej zawsze podawano nazwiska i wyniki triumfatorów konkurencji. Wkrótce osiągnęłam rezultat, który skupił uwagę kibiców na mojej osobie. Był to rekord Polski młodziczek w skoku wzwyż – 1,565 m – przypomina sobie ówczesna bohaterka Lekkoatletycznych Czwartków.

ARTYSTKA NA PÓŁ GWIZDKA

Mama cieszyła się, że trenuję, bo doceniała wartość ruchu, przedtem zaś żadnym sposobem nie potrafiła mnie nakłonić do jakichkolwiek ćwiczeń lub zabaw. A skoro z nauką w szkole nie miałam najmniejszych nawet kłopotów, nic nie stało na przeszkodzie, by kontynuować przygodę ze sportem. Kopyto był człowiekiem z natury wesołym. Umiał nawiązywać kontakt z młodzieżą. Doskonale pamiętam pierwsze obozy treningowe, na które wyjeżdżałam pod jego egidą. Odbłyły się w Kluczborku i Inowrocławiu. Co ciekawe, w tej pierwszej miejscowości uczestniczący w treningach zawodnicy i zawodniczki zażyczyli sobie zorganizowania we własnym gronie teatru. No i wystawiliśmy „Hamleta” w przeróbce... Jeremiego Przybory, a ja przypominałam sobie zajęcia teatralne w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki i znowu zagrałam postać Ofelii.

Po pierwszych treningach w Polonii ustanowiłam trzy rekordy Polski młodziczek: 1,58 m w skoku wzwyż, 5,73 m w skoku w dal i 11.9 s na 100 metrów. Pamiętam, że gdy w Warszawie biłam ten drugi rekord, za radą Kopyty rozbieg odmierzałam sobie sznurkiem. W związku z tym przez dłuższy czas przychodziłam na stadion z całą szpulką.

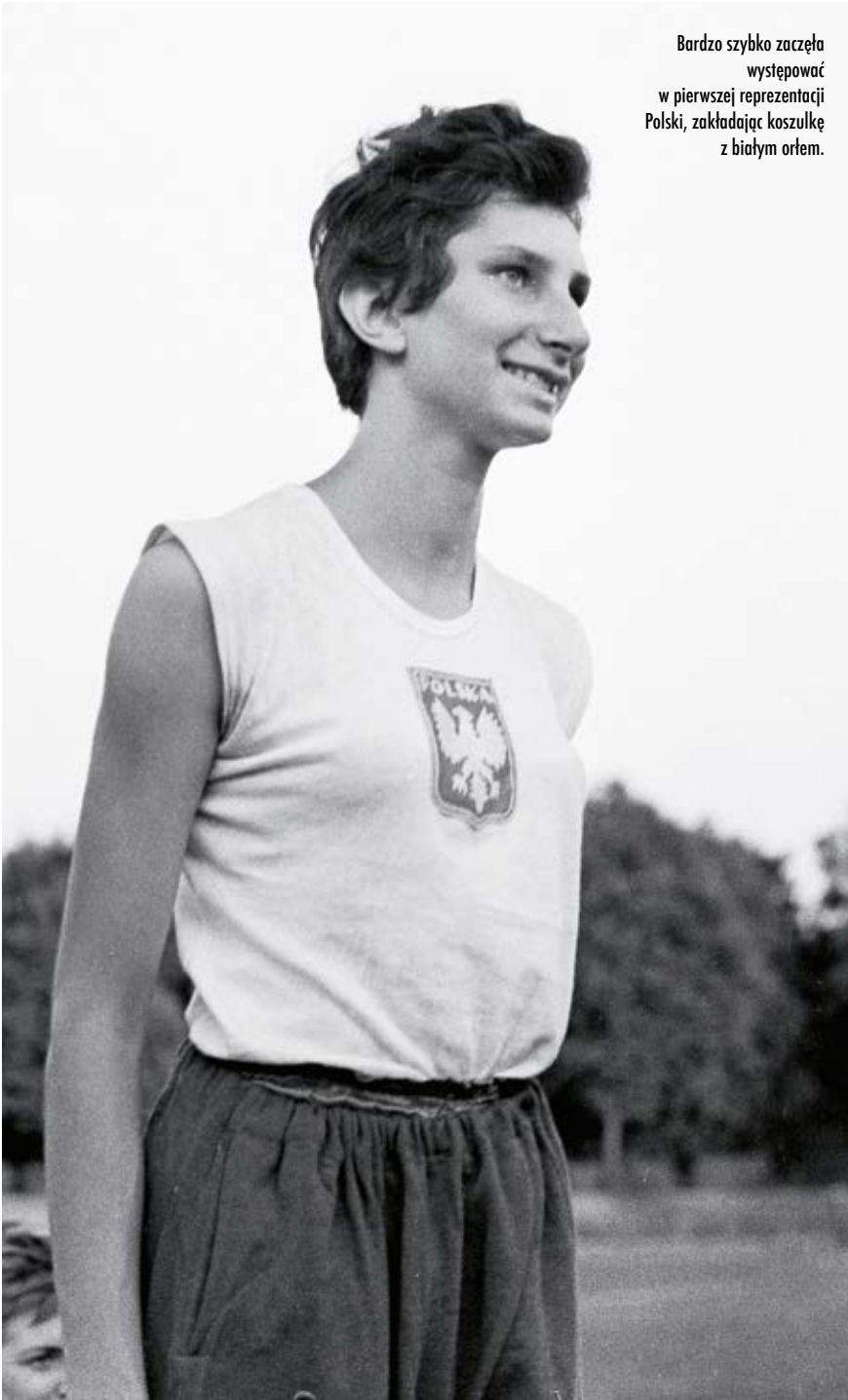
Ze współpracy z Kopytą byłam bardzo zadowolona, ale on zrezygnował nagle z pracy w Polonii, automatycznie zostawiając naszą grupę. I wtedy przeszłam pod opiekę Andrzeja Piotrowskiego, zaczynając treningi na stadionie Akademii Wychowania Fizycznego na Bielanach. Dojazd na miejsce zajęć stał się trochę dłuższy, ale wciąż był tak samo wygodny. Wystarczyło wsiąść niemal pod samym domem w tramwaj numer 15.

Pod okiem nowego fachowca przeszłam już na specjalistyczny trening sprinterski i trzeba przyznać, że współpracując z Piotrowskim do 1966 roku, osiągnęłam w biegach krótkich klasę światową, chociaż po części zajmowałam się też nadal skakaniem w dal. Piotrowski wyprowadził mnie na szerokie wody lekkoatletyki. Przede wszystkim dołączyłam do warszawskiej grupy szybkobiegaczek kadry narodowej, w której trenowały najbardziej z nas doświadczona Marysia Piątkowska, dwie inne równie rutynowane zawodniczki – Celina Gerwin i Halina Krzyżańska oraz Ela Bednarek, Ela Twardowska, znana później pod nazwiskiem Kolejwa, poznanianka Bożena Woźniak, Teresa Gierczak, później Nowak, Urszula Świderska i Ewa Kłobukowska, a dołączała do nas na

Będąc juniorką, bardzo szybko prześcignęła na bieżni seniorki z krajowej czołówki sprintu.



Bardzo szybko zaczęła
występować
w pierwszej reprezentacji
Polski, zakładając koszulkę
z białym orłem.



obozach Halina Górecka z Górnika Zabrze. Z dwiema ostatnimi przyszło mi już rok później biec po złoty medal olimpijski w sztafecie 4x100 metrów. Nawet po wielu latach stwierdzam, że jeśli chodzi o dobór talentów, to skład tej grupy był wprost znakomity, jakkolwiek część z niej stanowiły płotkarki będące jednocześnie świetnymi sprinterkami – czyli Piątkowska, Krzyżańska, Bednarek, Woźniak, Świdowska, Gierczak.

JUNIORKA W DOROSŁEJ REPREZENTACJI

Wyspecjalizowany trening pod kierunkiem Piotrowskiego przeprowadzałam już nie tak jak u Kopyty – trzy razy, ale pięć razy w tygodniu i był on znacznie cięższy. Przeszłam więc na cykl w pełni wyczynowy. Skoncentrowałam się głównie na sprincie. O skoku wzwyż musiałam na dobre zapomnieć. W doborowym zestawie szybkobiegaczek, które prowadził Piotrowski, na początku nie byłam bynajmniej gwiazdą, ale nieopierzoną debiutantką. Dzięki ogromnej życzliwości kochanej Marysi Piątkowskiej, nadającej ton grupie, dziewczyny przyjęły mnie niezwykle sympatycznie. Trener okazał się ogromnie wymagający, ale atmosfera w tym gronie była na co dzień bardzo koleżeńska, a powiedziałabym nawet – wesoła. W tych warunkach z wielką chęcią jeździłam na Bielany.

W 1963 roku znacznie poprawiłam rekordy życiowe, osiągając 11.6 w Bydgoszczy i 24.2 w Poznaniu, co dało mi na obu dystansach trzecie miejsce w bilansie sezonu. Szybsze były tylko Elżbieta Szyroka z Baildonu Katowice i mająca już wielkie międzynarodowe sukcesy na koncie Barbara Sobotta z AZS Kraków.

Będąc jeszcze juniorką, zadebiutowałam w reprezentacji Polski senierek, startując w meczu Rumunia – Polska w Oradei na 200 metrów. Debiut nie był całkowicie udany, bo przy dobieganiu do mety przestraszyłam się, zobaczywszy taśmę, i upadłam. Mimo to udało mi się zająć drugie miejsce za Szyroką. Potem wystąpiłam też w reprezentacji narodowej w Moskwie, uczestnicząc w sztafecie 4x100 metrów. Było to zatem stopniowe wchodzenie na coraz wyższy poziom lekkoatletycznego wtajemniczenia – opowiada Irena.

Jej dokonania zostały w pełni docenione przez ówczesnych kronikarzy, w tym przez znanego szerzej niekoniecznie z dziennikarstwa sportowego Juliusza Rawicza. W roczniku PZLA 1963 ukazał się tekst pochwalny na temat utalentowanej siedemnastolatki, o której napisana

została sama prawda, wyjąwszy przekręcenie nazwiska (Kirszensztein zamiast Kirszenstein). Warto jednak przypomnieć tamtą, jakże ważną, notatkę, pod którą widniał opis dokonań mistrzyni Europy na 200 m z 1958 roku – starszej od Ireny o 10 lat Barbary Sobotty (wcześniej Lerczak, a następnie Janiszewskiej).

Oto treść notatki przedstawiającej sylwetkę przyszłej mistrzyni olimpijskiej:

IRENA KIRSZENSZTEIN

Rewelacyjna, 17-letnia zawodniczka, która w jednym sezonie awansowała z zupełnie nieznannej zawodniczki do czołówki lekkoatletek polskich. Dysponuje wspaniałymi warunkami fizycznymi, przypominającymi mistrzynię olimpijską z Rzymu na 100 m Amerykankę Wilnę Rudolph, w ciągu dwóch sezonów stała się rewelacją na skalę międzynarodową. Sezon 1963 zakończyła w sprincie wynikami 11.6 na 100 m i 24.2 na 200 m, zajmując w obu konkurencjach trzecie lokaty w tabelach najlepszych wyników. Wynik 11.6 jest jednocześnie nowym rekordem Polski juniorek, równym niedawnemu rekordowi Polski seniorek, którego autorką była sama Stanisława Walasiewiczówna.

Irena Kürszensztein jest jednak nie tylko doskonałą sprinterką. Choć w tej specjalności już teraz reprezentuje europejski poziom, to jednak osiąga ona również wysokiej klasy wyniki w skokach. W roku 1963 poprawiła swe rekordy życiowe takimi wynikami jak 5,84 w skoku w dal (6. miejsce w kraju) i 1,59 w skoku wzwyż (7. miejsce). O wielkiej wszechstronności tej zawodniczki świadczy również wynik 4.187 pkt w pięcioboju (3. miejsce), chociaż jej rezultaty w biegu na 80 m pt, a zwłaszcza w kuli (7,90) są jeszcze bardzo stabiutkie.

Choć brak jej jeszcze doświadczenia, awansowała w roku 1963 do reprezentacji Polski, występując zarówno w sztafecie 4x100 m, jak i indywidualnych konkurencjach sprinterskich. Wpisana się również po raz pierwszy na listę rekordzistek Polski seniorek. Biegając w sztafecie 4x200 m wraz ze swymi starszymi koleżankami Marią Piątkowską, Barbarą Sobottową i Haliną Górecką, uzyskała wynik 1:36.5, zaledwie 0.5 sek gorzej od rekordu świata.

Jeśli jej dyspozycje sportowe rozwijać się będą planowo i w takim tempie, jak to było w roku 1963, Irena Kürszensztein ma wszelkie dane, aby stać się rewelacją światową w roku olimpijskim, zdolną do największych niespodzianek.

Tak pisał o wschodzącej gwiazdce polskiej lekkoatletyki ówczesny kronikarz PZLA. Dla lepszego zobrazowania pozycji Ireny w skali kraju warto przypomnieć dziesiątki najlepszych zawodniczek we wspomnianych wyżej konkurencjach:

100 m

11.4	Elżbieta Szyroka (Baıldon Katowice)
11.4	Barbara Sobotta (AZS Kraków)
11.6	Irena Kirszenstein (Polonia Warszawa)
11.6	Elżbieta Bednarek (Warszawianka)
11.6	Halina Górecka (Górnik Zabrze)
11.7	Ewa Kłobukowska (Skra Warszawa)
11.7	Anna Dzieciółowska (Start Łódź)
11.7	Danuta Romankiewicz (Sparta Warszawa)
11.8	Celina Gerwin (Legia Warszawa)
11.8	Maria Piątkowska (Legia Warszawa)

200 m

23.9	Elżbieta Szyroka
24.2	Barbara Sobotta
24.2	Irena Kirszenstein
24.3	Halina Górecka
24.6	Celina Gerwin
24.7	Maria Piątkowska
24.8	Ewa Kłobukowska
24.8	Elżbieta Bednarek
24.8	Mirosława Sałacińska (AZS Kraków)
25.1	Elżbieta Twardowska (Sparta)

Skok wzwyż

1,73	Jarostawa Bieda (AZS Kraków)
1,70	Mirosława Sałacińska
1,68	Iwona Ronczewska (AZS Kraków)
1,65	Gizela Paździor (Górnik Zabrze)
1,64	Barbara Owczarek (AZS Kraków)
1,60	Łucja Noworyta (Gwardia Warszawa)
1,59	Irena Kirszenstein
1,58	Grażyna Abramowicz (Legia Warszawa)
1,58	Krystyna Gigielewicz (MKS Opole)
1,56	Maria Herman (MKS Leszno)

Skok w dal

6,13	Elżbieta Krześcińska (SLA Sopot)
5,98	Maria Piątkowska
5,97	Renata Hein (Baıldon)
5,85	Halina Krzyżarska (LZS Lech)
5,84	Maria Majewska (AZS Poznań)
5,84	Irena Kirszenstein
5,79	Barbara Kądziółka (Wisła Kraków)
5,77	Bożena Woźniak (AZS Poznań)
5,70	Maria Bibro (Cracovia)

Przeglądając tabele tamtego czasu, wypada przypomnieć, kim były zawodniczki, którym siedemnastolatka stołecznej Polonii deptała wtedy po piętach. Otóż Barbara Sobotta (panieńskie nazwisko Lerczak, a z pierwszego małżeństwa Janiszewska) – to mistrzyni Europy w biegu na 200 metrów z 1958 roku (Sztokholm) i brązowa medalistka mistrzostw kontynentu w tej samej specjalności w 1962 roku w Belgradzie, piąta w olimpijskim finale igrzysk olimpijskich 1960 w Rzymie. „Złota Basia”, uznawana za „Miss Polskiej Lekkoatletyki”, stała się ulubienicą kibiców, a w najpoważniejszych imprezach reprezentowała Polskę od 1952 roku. I to ona jako pierwsza zdołała wyrównać przedwojenne rekordy Polski (wtedy jeszcze rekordy świata), ustanowione przez Stanisławę Walasiewicz.

Pochodząca z Poznania urokliwa blondynka po studiach na kierunku historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego pozostawała postacią legendarną również dlatego, że miotając się w młodych latach pomiędzy Trójmiastem i Krakowem, wsiąkła w towarzystwo późniejszych tuzów polskiego filmu, sceny teatralnej i estrady: Zbigniewa Cybulskiego, Bogumiła Kobieli, Jacka Fedorowicza. Podczas igrzysk olimpijskich w Rzymie nawiązała zaś romans z włoskim bohaterem tej imprezy, podobnie jak ona specjalistą biegu na 200 metrów Livio Berrutim, który zdobył wtedy na tym dystansie złoty medal z rekordem świata 20.5 sekundy. Jak mi wspominała Basia ze śmiechem po latach, Livio najbardziej był zdziwiony, że to ona lepiej znała zabytki rzymskie od niego z uwagi na wykształcenie.

Jej serdeczna przyjaciółka, także obracająca się w owym artystycznym towarzystwie Jarosława Józwiakowska-Bieda chlubiła się w skoku wzwyż srebrnym medalem igrzysk w Rzymie, będąc również gwiazdą pierwszej wielkości, zwłaszcza w Polsce, bo przecież Rzym przyniósł nam pierwszą olimpijską transmisję i wszyscy nasi medaliści byli na ustach społeczeństwa, które oglądało relacje w Telewizji Polskiej z takim samym zachwytem jak dziewięć lat później przekaz lądowania amerykańskich kosmonautów na Księżycu.

Elżbieta Duńska-Krzysińska z kolei była w tamtym okresie najbardziej utytułowaną polską lekkoatletką, mając w kolekcji trofeów w skoku w dal: olimpijskie złoto (Melbourne 1956) i srebro (Rzym 1960), dwa medale mistrzostw Europy (brąz z Berna 1954 i srebro z Belgradu 1962) oraz ustanowiony dwukrotnie w 1956 roku rekord świata 6,35 m.



Defilada w Warszawie w okazji 1000-lecia państwa polskiego, 22 lipca 1966 roku.
Od lewej: Irena, Waldemar Baszanowski z flagą i Ewa Kłobukowska.

Maria Piątkowska (wcześniej Ilwicka, a po pierwszym zamążpójściu Chojnacka) uchodziła od lat pięćdziesiątych za najwszechstronnejszą polską lekkoatletkę, sięgając po rekordy Polski i tytuły mistrzyni na 80 m pł i w pięcioboju, a dodatkowo chlubiąc się takimi tytułami w biegu na 100 m i w skoku w dal.

Z owymi znakomitościami przyszło zatem rywalizować nieco onieśmielonemu podlotkowi z warszawskiej Polonii, jakkolwiek już wtedy Irena budziła respekt starszych koleżanek, imponując warunkami fizycznymi. Dominik Ochendał, jeden z trenerów KKS Polonia, kiedy oceniał wznoszenie się Ireny w skoku wzwyż, zwykł mawiać żartem: „ona ma nogi do samej ziemi”, sugerując poprzez to, że początkująca nastolatka jest w stanie przejść nad poprzeczką, nie potrzebując w zasadzie odbicia.

KLUCZBORK KLUCZEM DO ZWIĄZKU Z JANUSZEM

– Z Ireną poznałam się, będąc o dwa lata od niej starszą uczennicą Liceum Ogólnokształcącego im. Jarosława Dąbrowskiego – wspomina dawna koleżanka ze stadionu, a potem serdeczna przyjaciółka Elżbieta Cymerman-Jesień. – Razem trafiłyśmy do grupy Jana Kopyty, przy czym ja specjalizowałam się w skoku wzwyż, Irena zaś była od początku rewelacyjna w wielu konkurencjach, bo równie dobrze skakała wzwyż i w dal, jak i biegała sprinty. Skok wzwyż wykonywałyśmy jeszcze archaicznym stylem nożycowym i tu bardzo trudno było dorównać chudej, długonogiej Irenie, która ustanawiała rekord za rekordem, błyskawicznie zbliżając się do ścisłej czołówki krajowej. Już wtedy było widać, że to talent, jaki się trafia jeden na miliony adeptek lekkoatletyki. I z dzisiejszego punktu widzenia stwierdzam, że nikt lepszy się u nas po niej nie narodził. Mnie szybko nawalił kręgosłup i musiałam bardzo wcześnie zakończyć sportową karierę, ale pamiętam, że w 1963 roku skoczyłam wzwyż 146 cm, a o dwa lata młodsza Irena aż 159 cm.

Od strony czysto ludzkiej była niestęchanie sympatyczną osobowością, zawsze bardzo wesoła i wszystkim życzliwa. Nic dziwnego, że przyjaźniłyśmy się do końca jej życia, a z kolei mój przyszły mąż, czterystumetrowiec Polonii Andrzej Jesień należał do grona najbliższych kumpli Janusza Szewińskiego. Dlatego mocno mi utkwiał w pamięci nasz pierwszy wspólny obóz treningowy – w Kluczborku, gdzie zaczęła się nawiązywać wyraźna nić sympatii pomiędzy Ireną i Januszem, aż wreszcie powstał z tego wspólny związek na stałe.

Wiadomo, że istnieje coś takiego jak babska zazdrość albo zawiść i jako sportsmenka numer jeden Irena miała wielokrotnie okazję stać się obiektem tych negatywnych uczuć. Sama za to nigdy w życiu na nikogo złego słowa nie powiedziała. Zawsze była wszystkim przyjazna i pomocna. Po prostu serce na dłoni. Tak samo zresztą jak Janusz. W latach 70., gdy jeszcze ja i Andrzej nie mieliśmy własnego samochodu, Szewiński nie wahał się nam pożyczyć swojego malucha, żebyśmy mogli pojechać na Mazury.

Chociaż wciąż podróżującej po świecie Irenie trudno było znaleźć wolną chwilę, bardzo dobrze spisywała się jako pani domu, również od strony gastronomicznej, a jej popisową potrawą był karp po żydowsku. Poza tym – jak każdy dobry człowiek – bardzo kochała zwierzęta. Psy i koty w jej domu były traktowane jak członkowie rodziny. Na koniec po-

wiem zaś coś bardzo zaskakującego. Otóż w małżeństwie Szewińskich było tak, że Irena wprost uwielbiała tańczyć, a Janusz – przeciwnie. I proszę sobie wyobrazić, że któregoś roku na Sylwestra to dobrane małżeństwo wygrało w warszawskiej restauracji Sofia konkurs tańca! Janusz sam do dzisiaj nie może w ten sukces uwierzyć, mając jednak świadomość, że o wygranej przesądziła raczej rozpoznawalność jego żony, a nie pospólne umiejętności taneczne – wyjaśnia ze śmiechem pani Elżbieta, której syn Paweł jest mężem rekordzistki Polski w biegu na 400 metrów przez płotki Anny Olichwierczuk, która występuje też pod nazwiskiem Jesień.

A po blisko sześćdziesięciu latach dawnej kumpelce Ireny przypomina się, że przyszła mistrzyni olimpijska nie miała łatwo z koleżankami, które na owym obozie w Kluczborku dawały jej zły przykład, paląc cichaczem papierosy, a nawet rozpijając modne wśród ówczesnej młodzieży tanie wino „patykiem pisane”.